Między wskaźnikiem a godnością: nowy kompas NGO

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje ewolucję roli organizacji pozarządowych, które stają przed wyzwaniem wyjścia poza biurokratyczny język wskaźników na rzecz narracji opartej na godności człowieka. Autor wskazuje na ryzyko upokorzenia epistemicznego, gdy instytucje narzucają mieszkańcom własne definicje ich problemów. Zamiast tego proponuje podejście oparte na neopragmatyzmie i koncepcji szans życiowych Ralfa Dahrendorfa, gdzie NGO pełnią funkcję tłumaczy między systemem a żywym doświadczeniem. Kluczowym elementem jest sprawiedliwość proceduralna oraz budowanie infrastruktury wyobraźni, która pozwala na realną sprawczość społeczności lokalnych. Tekst zachęca do projektowania zmian, które nie tylko realizują cele klimatyczne czy społeczne, ale przede wszystkim wzmacniają więzi i szanują podmiotowość każdego człowieka, czyniąc go współautorem transformacji.

This article examines the evolving role of non-governmental organizations (NGOs), which face the challenge of moving beyond the bureaucratic language of indicators toward a narrative grounded in human dignity. The author highlights the risk of epistemic humiliation when institutions impose their own definitions of problems on residents. Instead, he proposes an approach based on neopragmatism and Ralf Dahrendorf's concept of life chances, where NGOs act as translators between the system and lived experience. A key element is procedural justice and building an infrastructure of imagination that allows for real agency in local communities. The text encourages designing changes that not only achieve climate and social goals but, above all, strengthen bonds and respect the subjectivity of each individual, making them co-authors of the transformation.

Polskie organizacje pozarządowe utknęły w pułapce „grantowej nowomowy", gdzie sterylne wskaźniki i biurokratyczne diagnozy często przesłaniają rzeczywiste potrzeby lokalnych społeczności. Niniejszy artykuł postuluje radykalne przewartościowanie roli

NGO w procesie zrównoważonego rozwoju, odchodząc od technokratycznej „pedagogiki ekspertów” na rzecz neopragmatycznego podejścia Richarda Rorty’ego. Autorzy dowodzą, że prawdziwa zmiana społeczna nie polega na narzucaniu gotowych rozwiązań, lecz na budowaniu „infrastruktury wyobraźni”, która łączy obiektywne opcje wyboru z lokalnymi więziami (ligaturami). Tekst stawia tezę, że zrównoważony rozwój nie jest utopijnym celem do osiągnięcia, lecz niekończącym się procesem negocjacji w „zamieszkanym domu”. Kluczowym wyzwaniem dla trzeciego sektora staje się zatem unikanie upokorzenia epistemicznego oraz umiejętne zarządzanie konfliktem, który zamiast być anomalią do usunięcia, stanowi twórczy rdzeń każdej wspólnoty. W erze polikryzysowości organizacje pozarządowe muszą stać się laboratoriami nowych metafor, które przywracają podmiotowość beneficjentom, dbając, by każda transformacja – energetyczna czy społeczna – odbywała się z poszanowaniem ludzkiej godności i realnych szans życiowych mieszkańców, a nie tylko w rytmie raportowania statystycznych sukcesów.

SŁOWA KLUCZOWE

organizacje pozarządowe | wskaźniki | godność człowieka | upokorzenie epistemiczne | szanse życiowe | ligatury | sprawiedliwość proceduralna | zrównoważony rozwój | infrastruktura wyobraźni | neopragmatyzm | redeskrypcja | trzeci sektor | sprawczość społeczna | transformacja klimatyczna | ubóstwo energetyczne

Nowy język NGO: między wskaźnikiem a godnością człowieka

Polskie organizacje pozarządowe opanowały do perfekcji dialekt projektowy, w którym „rezultaty”, „wskaźniki” i „diagnozy lokalne” wirują w rytmie kolejnych naborów wniosków. Wiedzą one jednak doskonale, że między sterylnym arkuszem Excela a pulsującym życiem wspólnoty rozciąga się przestrzeń, w której mieszka cała, często niewygodna prawda o polityce społecznej. Papier, jak wiadomo, przyjmie każdą dawkę biurokratycznego optymizmu, lecz rzeczywistość bywa znacznie mniej elastyczna. Człowiek, który czuje się pominięty lub potraktowany jak „beneficjent do naprawy”, potrafi jednym milczeniem unieważnić najbardziej elegancką teorię zmiany. To

milczenie jest sygnałem, że zrównoważony rozwój potrzebuje dziś zupełnie nowego języka opisu. Nie potrzebujemy kolejnego wyblakłego sloganu na roll-upie, lecz słów, które potrafią udźwignąć ciężar ludzkiego doświadczenia.

Poszukujemy języka, który jest zarazem rzetelnie naukowy i głęboko ludzki, zdolnego do pracy w tak różnych miejscach jak urząd miasta, wiejska świetlica czy klimatyczny think tank. Musi to być mowa, która rozumie naturę konfliktu, ale nie żywi się nim, lecz traktuje go jako twórczy rdzeń każdej wspólnoty i motor wolności. Taki język ufa nauce, ale nie zamienia jej w pałkę do dyscyplinowania niepokornych, bo przecież zrównoważony rozwój to nie gotowa utopia, lecz niekończąca się rozmowa o poszerzaniu szans życiowych. Chodzi o to, by zwiększać nasze opcje bez niszczenia świata, który te szanse w ogóle umożliwia. To zadanie może stać się kompasem dla NGO, które nie powinny być jedynie miękkim działem wdrożeniowym wielkich agend publicznych. Ich rola w architekturze społecznej jest znacznie bardziej fundamentalna i wymagająca.

Organizacje pozarządowe pełnią funkcję tłumaczy między chłodnym światem instytucji a gorącym światem bezpośredniego doświadczenia. Są one czujnikami społecznego bólu, laboratoriami nowych metafor i strażnikami godności w miejscach, gdzie system widzi jedynie statystyczną anomalię. W świecie, w którym państwo dostrzega procedurę, a biznes model operacyjny, NGO muszą widzieć człowieka w jego konkretnym krajobrazie życia. To one budują infrastrukturę wyobraźni, pozwalającą dostrzec realne opcje tam, gdzie inni widzą tylko ściany. Słowa i teorie to przecież narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość, co stanowi fundament neopragmatyzmu Richarda Rorty'ego. Nie oznacza to negowania faktów, bo smog, susza i ubóstwo energetyczne są aż nadto realnymi problemami niszczącymi naszą codzienność.

Sposób, w jaki opisujemy te fakty, jest zawsze wyborem politycznym i etycznym, o czym praktycy trzeciego sektora przekonują się każdego dnia. Możemy mówić o „aktywizacji biernych mieszkańców", co często ociera się o upokorzenie epistemiczne, czyli odebranie ludziom prawa do sensownego opisu własnego losu. Możemy jednak wybrać narrację o „odbudowie sprawczości społeczności, której przez lata nie pytano o zdanie", co zmienia całą dynamikę relacji. Podobnie „edukacja ekologiczna osób o niskiej świadomości" brzmi jak wyrok, podczas gdy „wspólne szukanie opcji życia w dobie kryzysu" zaprasza do dialogu. Język jako działanie, czyli traktowanie słów jako pierwszego kroku w projekcie, determinuje, czy zapraszamy ludzi do współpracy, czy ich stygmatyzujemy.

Kluczowe staje się zrozumienie szans życiowych, czyli koncepcji łączącej obiektywne wybory z ligaturami, czyli więziami nadającymi życiu głębszy sens. Projekt, który oferuje nowe opcje, ale niszczy lokalne więzi, jest w istocie formą opresji, a nie rozwoju. Tutaj pojawia się sprawiedliwość proceduralna, czyli zasada, według której ludzie akceptują trudne zmiany, jeśli czują, że reguły gry

były uczciwe. Bez tego fundamentu każda transformacja klimatyczna czy społeczna utknie w martwym punkcie oporu i nieufności. Obywatelska kompetencja, czyli zdolność do krytycznej analizy wskaźników i rozpoznawania pozornych działań, pozwala mieszkańcom stać się świadomymi współtwórcami zmian. Zrównoważona przyszłość wymaga przecież transformacji w zamieszkanym domu, a nie na pustym placu budowy, gdzie nikt nie czuje się u siebie.

Język jako narzędzie zmiany: od upokorzenia do współautorstwa

Język nie jest jedynie estetycznym dodatkiem do społecznego działania; on jest, w sensie najbardziej dosłownym, tym działaniem pierwszym i konstytuującym. Posiada on bowiem moc otwierania drzwi do współpracy lub zatrzaskiwania ich z głuchym, biurokratycznym łomotem, który skutecznie odbiera nadzieję na jakikolwiek dialog. Może on zaprosić drugiego człowieka do pełnoprawnego współautorstwa zmian albo ustawić go w upokarzającej kolejce po moralne pouczenie od tych, którzy rzekomo wiedzą lepiej. Dlatego też pierwsza zasada dla organizacji społecznych brzmi: zanim napiszesz projekt zmiany, sprawdź uważnie, czy język tego projektu nie upokarza ludzi, którym ma on pomóc. Słowa i teorie to przecież narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość, więc ich niewłaściwe użycie wyrządza realną, społeczną krzywdę.

Jedną z najczęstszych chorób toczących współczesne polityki publiczne jest upokorzenie epistemiczne, czyli praktyka polegająca na odbieraniu ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzucaniu im obcej siatki pojęć. Pojawia się ono wtedy, gdy ekspert mówi mieszkańcowi małej gminy, że jego przywiązanie do miejsca jest nieracjonalne z punktu widzenia ekonomii. Widzimy to również wtedy, gdy aktywista protekcjonalnie oznajmia rolnikowi, że jest on jedynie przeszkodą dla klimatu, lub gdy urzędnik ucina skargę obywatela stwierdzeniem o dochowaniu procedury. Gdy fundacja mówi lokalnej społeczności: „przychodzimy was zaktywizować”, traktuje ludzi jak niedziałające urządzenie, które wymaga interwencji technika, by ponownie ruszyć z miejsca. Wszak takie podejście odziera odbiorców z ich naturalnej sprawczości i godności, zamieniając ich w bierne obiekty cudzej troski.

Tu właśnie wyłania się kolejna maksyma: najskuteczniejszym sposobem zadania człowiekowi głębokiego bólu jest pokazanie mu, że jego świat jest przestarzały, bezcelowy i w gruncie rzeczy śmieszny. Organizacja pozarządowa, jeśli aspiruje do bycia naprawdę obywatelską, powinna wykazywać się szczególną odpornością na tę intelektualną pokusę wyższości, która tak często towarzyszy eksperckiej wiedzy. Nie wolno nam budować sprawiedliwości społecznej, posługując się

językiem pogardy, tak jak nie wolno budować nowoczesnej ekologii na fundamencie wstydu i wykluczenia. Prawdziwa partycypacja nie rodzi się z protekcjonalnego zaproszenia w stylu: „przyjdźcie, a my wam powiemy, jak macie rozumieć własne życie", gdyż taki gest jest zaprzeczeniem podmiotowości.

Zamiast burzyć stare słowniki, powinniśmy poddać je procesowi redeskrypcji, czyli ponownego opisania świata w taki sposób, aby ludzie mogli w nim dostrzec nowe możliwości działania. Nie chodzi tu o tanią manipulację, lecz o stworzenie lepszego, bardziej precyzyjnego narzędzia rozumienia naszej wspólnej kondycji w zmieniającym się świecie. Kiedy stary język przestaje działać i staje się barierą, nie zawsze musimy go niszczyć do fundamentów; czasem wystarczy go twórczo przepisać, nadając mu nową energię. Dla sektora NGO jest to niezwykle praktyczna metoda, która pozwala na budowanie mostów tam, gdzie dotąd straszyły jedynie przepaście niezrozumienia i wzajemnej niechęci.

Jeśli w małej miejscowości słowo „klimat" kojarzy się wyłącznie z odległą agendą wielkich miast, możemy zacząć od pojęcia bezpieczeństwa, które jest bliskie każdemu. Możemy mówić o bezpiecznych rachunkach za energię, bezpiecznym dostępie do wody, kojącym cieniu w czasie upałów czy bezpiecznym transporcie dzieci do szkoły. Jeśli „zrównoważony rozwój" brzmi zbyt urzędowo, warto zacząć mówić o mądrym gospodarowaniu naszym wspólnym domem, co odwołuje się do intuicji troski. Gdy „partycypacja" wydaje się słowem wyjętym z nudnego podręcznika, lepiej użyć sformułowania o prawie mieszkańców do bycia współautorami decyzji, które realnie wpływają na ich codzienność. Sprawiedliwa transformacja nie może być abstrakcją; musi oznaczać, że nikt nie zapłaci za przyszłość utratą swojej godności.

Najważniejsza metafora źródłowa, która powinna stać się metodologicznym sztandarem każdej organizacji, głosi, że zrównoważona przyszłość wymaga transformacji w zamieszkanym domu. Społeczeństwo nigdy nie jest pustym placem budowy, na który można wjechać ciężkim sprzętem bez pytania kogokolwiek o zdanie czy opinię. Ludzie już w tym domu mieszkają, mają swoje wypracowane rytmy, lęki, zbiorowe pamięci, zawody, trasy autobusowe, a nawet ulubione kapliczki czy ogródki działkowe. Zmiana może być oczywiście konieczna – dach może przeciekać, a instalacja elektryczna grozić pożarem – ale nie wolno przeprowadzać remontu w taki sposób, jakby mieszkańcy byli jedynie przeszkodą dla ekipy. Toteż profesjonalizm polega na uznaniu, że domownicy są partnerami, a nie problemem do usunięcia.

Organizacje pozarządowe są często jedynymi podmiotami, które mają odwagę przypominać projektantom wielkich reform: w tym domu naprawdę ktoś mieszka i ma on swoje prawa. To nie jest tani sentymentalizm, lecz wyraz najwyższego profesjonalizmu społecznego, który rozumie, że bez szacunku dla zastanej tkanki życia każda reforma pozostanie martwa. Pamiętajmy, by nie mylić

wskaźnika z życiem, bo statystyki rzadko oddają ciężar ludzkiego doświadczenia w obliczu gwałtownych przemian, które dotykają fundamentów egzystencji. Profesjonalizm polega tu na uznaniu, że konflikt to nie anomalia do usunięcia, lecz twórczy rdzeń każdej wspólnoty i motor wolności, o ile tylko potrafimy o nim rozmawiać.

Trzecia wielka maksyma, zaczerpnięta z teorii szans życiowych Ralfa Dahrendorfa, mówi nam, że ligatury bez opcji oznaczają ucisk, natomiast opcje bez ligatur są pozbawione sensu. To jedno zdanie potrafi uporządkować ogromną część chaosu w pracy społecznej, wskazując na konieczność zachowania równowagi między wolnością wyboru a potrzebą przynależności. Opcje to realne możliwości działania: od znalezienia godnej pracy i dojazdu do lekarza, po udział w kulturze czy zrozumienie skomplikowanego pisma urzędowego. Ligatury to z kolei te wszystkie więzi, które nadają życiu głębię: rodzina, sąsiedztwo, lokalna tradycja, etos pracy czy poczucie zakorzenienia w konkretnym krajobrazie.

Jeśli człowiek posiada ligatury, ale brakuje mu opcji, żyje w świecie dusznym i zamkniętym, gdzie ma przynależność, ale nie posiada żadnego wyjścia ani autonomii. Tak właśnie rodzi się opresja, która dusi jednostkę w imię wspólnoty, nie dając jej szansy na własny głos czy realizację indywidualnych marzeń. Z drugiej strony, jeśli człowiek ma nieskończone opcje, ale brakuje mu ligatur, żyje w świecie przerażająco pustym, gdzie może wybierać wszystko, ale nie wie właściwie, po co to robi. Ma on formalną wolność i bogatą ofertę rynkową, niemniej brakuje mu sensu, który płynie z bycia częścią czegoś większego niż on sam. Tak rodzi się współczesna samotność, będąca ceną za wolność pozbawioną korzeni.

Jak projektować zmianę bez upokarzania ludzi?

Z perspektywy organizacji pozarządowych teoria szans życiowych, czyli koncepcja łącząca obiektywne opcje wyboru z ligaturami nadającymi życiu sens, pozwala postawić pytania o fundamentalnym znaczeniu etycznym. Czy projektowany przez nas mechanizm zmiany realnie poszerza wachlarz możliwości dostępnych dla człowieka, czy jedynie wymusza na nim kapitulację przed nową, zewnętrzną normą? Musimy bowiem rozstrzygnąć, czy nasze działania wzmacniają istniejące więzi społeczne, czy też brutalnie je rozrywają w imię abstrakcyjnego postępu. Prawdziwa pomoc nie polega na narzucaniu gotowych scenariuszy, lecz na przyznaniu ludziom prawa do wyboru ścieżki, która nie będzie wymagała od nich porzucenia własnej godności. Wszak dla wielu społeczności lokalność nie jest jedynie barierą modernizacji, lecz ligaturą sensu, bez której każda nowa opcja staje się pustym i pozbawionym znaczenia gestem. Ligatury bez opcji oznaczają bowiem ucisk, podczas gdy opcje pozbawione ligatur stają się dla człowieka całkowicie pozbawione sensu.

Przyjrzyjmy się konkretnemu wyzwaniu, jakim jest walka z ubóstwem energetycznym, gdzie stary język interwencji skupiał się niemal wyłącznie na dyscyplinowaniu mieszkańców. Zamiast powtarzać mantrę o konieczności oszczędzania energii, nowy język pyta o realne fundamenty, na których ci ludzie budują swoją codzienność. Czy mają oni fizyczną możliwość wymiany źródła ciepła, czy też ich dom jest jedynie nieefektywnym budynkiem w statystykach, a nie miejscem biograficznym pełnym wspomnień? Ważne jest, by zrozumieć, czy barierą nie jest wstyd przed ujawnieniem problemu lub labirynt dokumentów, przez który nikt nie pomaga im przejść. Projektowanie zmiany bez uwzględnienia tych subtelnych warstw doświadczenia staje się formą upokorzenia epistemicznego, czyli odbierania ludziom prawa do sensownego opisu własnego życia i narzucania im obcej siatki pojęć. W takim ujęciu dom przestaje być wadliwym obiektem technicznym, a staje się przestrzenią, w której zmiana musi szanować dotychczasową biografię mieszkańców.

Podobny mechanizm obserwujemy w obszarze partycypacji obywatelskiej, gdzie tradycyjna diagnoza zbyt często sprowadza się do protekcjonalnego stwierdzenia, że mieszkańcy są po prostu bierni. Nowy język analizy odrzuca to uproszczenie i zaczyna pytać o sprawiedliwość proceduralną, czyli zasadę, według której ludzie akceptują trudne decyzje tylko wtedy, gdy czują, że reguły gry były uczciwe. Czy ich głos w przeszłości cokolwiek zmieniał, czy może konsultacje były jedynie teatrem odgrywanym w godzinach zupełnie niedostępnych dla pracujących rodziców? Musimy uznać, że bierność bywa nie cechą charakteru, lecz racjonalną i bolesną odpowiedzią na wieloletnie doświadczenie systemowej nieskuteczności. Dopiero gdy zrozumiemy ten mechanizm, możemy zacząć budować infrastrukturę wyobraźni, która pozwoli na realne zaangażowanie bez poczucia bycia oszukanym przez procedury. Prawdziwa partycypacja wymaga bowiem uznania, że język jako działanie determinuje relację z ludźmi już na etapie pierwszego zaproszenia do rozmowy.

W przypadku transformacji lokalnej stary paradygmat nakazywał po prostu przekonywać mieszkańców do zielonych rozwiązań, traktując ich opór jako przejaw zacofania lub braku wiedzy. Nowoczesne podejście wymaga jednak pytania o to, jakie ligatury zostaną naruszone i czy ludzie nie stracą wraz z krajobrazem także swojego statusu oraz rytmu życia. Nie wolno nam wymagać zmiany bez dostarczenia realnych opcji zmiany, co powinno stanowić etyczne minimum dla każdego projektanta działań społecznych. Nie można przecież oczekiwać od kogoś rezygnacji z węgla, jeśli nie zapewnimy mu doradztwa, wykonawców i środków na wkład własny, których on po prostu nie posiada. Takie podejście to nic innego jak liberalna ironia ekologiczna, czyli postawa dążąca do ochrony klimatu przy jednoczesnym uznaniu przygodności własnych przekonań i unikaniu niepotrzebnego okrucieństwa. Zrównoważona przyszłość wymaga bowiem transformacji w zamieszkanym domu, a nie na pustym placu budowy, gdzie nikt nie chce przebywać.

Aby nie zgubić człowieka między suchym faktem a bezduszną procedurą, warto sięgnąć po teorię trzech światów Karla Poppera, którą w pracy NGO można przełożyć na niezwykle praktyczne narzędzie. Świat pierwszy to nasza rzeczywistość materialna, obejmująca wszystko od infrastruktury i pieniędzy, aż po stan powietrza, technologię i środowisko, w którym jesteśmy zanurzeni. Świat drugi to z kolei intymne doświadczenie człowieka, w którym mieszczą się lęk, wstyd, nadzieja oraz poczucie bycia wysłuchanym lub całkowicie pominiętym przez system. Świat trzeci to domena instytucji i kultury, gdzie królują strategie, normy, język grantów oraz skomplikowane procedury prawne i ideologie. Dobra organizacja społeczna musi stale triangulować te trzy sfery, bowiem skupienie się na tylko jednej z nich prowadzi do niebezpiecznych i bolesnych deformacji. Słowa i teorie to wszak narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość w sposób doskonały.

Jeśli projekt widzi wyłącznie Świat pierwszy, staje się technokratyczną maszyną, która sprawnie liczy emisje i kilowatogodziny, ale pozostaje głucha na ludzkie upokorzenie i lęk. Z kolei nadmierna koncentracja na Świecie drugim czyni organizację sentymentalną, co sprawia, że słyszy ona emocje, lecz nie potrafi ich skonfrontować z twardymi danymi i ograniczeniami materialnymi. Największym zagrożeniem jest jednak dominacja Świata trzeciego, w którym organizacja staje się biurokratyczną wydmuszką, dbającą jedynie o wskaźniki, cele i zgodność z regulaminem grantodawcy. Profesjonalne działanie wymaga zatem widzenia faktu, doświadczenia i instytucji jednocześnie, co pozwala uniknąć pułapki pustego aktywizmu, który nikomu nie służy. Dopiero połączenie tych trzech perspektyw pozwala na projektowanie działań, które są jednocześnie skuteczne technicznie, sprawiedliwe społecznie i zrozumiałe ludzko. W ten sposób unikamy redukowania człowieka do roli beneficjenta, czyniąc go pełnoprawnym aktorem zmiany.

Kiedy organizacja działa na rzecz zieleni miejskiej, nie może ograniczać się do wykresów temperatury i retencji wody, lecz musi zapytać o wspomnienia mieszkańców i potrzeby seniorów. Podobnie w działaniach na rzecz osób z niepełnosprawnościami nie wystarczy usunięcie barier architektonicznych, jeśli nie dotkniemy kwestii wstydu, zależności i niewidzialnych norm społecznych. Musimy bowiem pamiętać, że sposób opisu problemu determinuje naszą relację z ludźmi, którym chcemy pomóc, i może ich albo zaprosić, albo skutecznie wykluczyć. W pracy z młodzieżą nie chodzi tylko o mityczne kompetencje przyszłości, lecz o zrozumienie lęku przed algorytmami i presją, która paraliżuje realne ścieżki działania. Każda z tych grup potrzebuje uznania ich podmiotowości, a nie tylko bycia kolejną pozycją w tabeli wyników, którą musimy zaraportować do urzędu. Obywatelska kompetencja, czyli zdolność do krytycznej analizy tych procesów, staje się tu kluczową umiejętnością obu stron.

W tym miejscu pojawia się kluczowa maksyma: nie myl wskaźnika z życiem, ponieważ liczby są jedynie narzędziami, a nie ostatecznym celem naszych działań. Choć NGO muszą raportować rezultaty i mierzyć swoją skuteczność, to liczba uczestników warsztatów nigdy nie powie nam, czy ktoś rzeczywiście odzyskał swój głos w debacie publicznej. Liczba nasadzonych drzew nie jest tożsama z poczuciem współwłasności miejsca, tak jak liczba porad prawnych nie gwarantuje, że człowiek przestał bać się opresyjnych instytucji. Dane bez narracji stają się zimne i martwe, podczas gdy sama opowieść bez twardych danych bywa zbyt mglista, by mogła stać się podstawą realnej zmiany. Dopiero połączenie tych dwóch elementów tworzy wiedzę społeczną, która pozwala nam zrozumieć, czy realnie wzrosły szanse życiowe ludzi, z którymi pracujemy. Profesjonalne NGO powinny zatem mierzyć, ale także interpretować, nie rezygnując z historii na rzecz suchych statystyk.

Kolejny istotny bon mot przypomina nam, że konflikt to nie anomalia do usunięcia, lecz twórczy rdzeń każdej wspólnoty i motor wolności, którego nie należy się obawiać. Organizacje pozarządowe często pracują w miejscach, gdzie instytucje publiczne najchętniej widziałyby ciszę i wymuszony konsensus, który jest jedynie maską dla głębokich nierówności. Spory o inwestycje, prawa mniejszości czy ochronę przyrody nie oznaczają, że projekt poniósł klęskę, lecz często wskazują na ujawnienie ukrytych wcześniej kosztów i niesprawiedliwości. Konflikt pokazuje nam czarno na białym, kto nie był słyszany, kto ma władzę nazywania problemów, a kto dysponuje jedynie bezsilnym gniewem i poczuciem krzywdy. Zadaniem organizacji obywatelskich nie jest więc wyciszanie tych sporów, lecz ich cywilizowanie i tworzenie warunków, w których przeciwnik nie staje się od razu wrogiem moralnym. Społeczeństwo bez konfliktu bywa bowiem społeczeństwem, w którym ludzie po prostu przestali wierzyć, że ich głos ma jakiekolwiek znaczenie.

Musimy zrozumieć, że wolności nie zabezpiecza się przez wymuszony konsensus, lecz przez prawo do odmiennego zdania, które jest tlenem każdego społeczeństwa otwartego. Dissent, czyli praktyka wyrażania sprzeciwu wobec dominujących norm, pozwala nam dostrzec to, co w oficjalnych strategiach zostało pominięte lub celowo ukryte przed opinią publiczną. Jeśli mieszkańcy protestują przeciwko nowej kampanii klimatycznej, nie powinniśmy pytać, jak ich skutecznie przekonać, lecz co ich opór mówi o naszych własnych błędach i uprzedzeniach. Być może język, którym się posługujemy, zamiast wzmacniać, jedynie zawstydza i pogłębia poczucie wykluczenia u tych, których teoretycznie chcieliśmy wspierać w procesie zmiany. Konflikt jest bowiem danymi jakościowymi o najwyższej wadze, których zignorowanie skazuje każdy projekt społeczny na ostateczną i, co gorsza, w pełni zasłużoną porażkę. Prawdziwa zmiana zaczyna się bowiem tam, gdzie kończy się pedagogika ekspertów, a zaczyna rzetelna rozmowa o realnych stratach i zyskach.

Procedura jako technologia godności i edukacja bez tresury

W świecie polityk publicznych racja bywa towarem deficytowym, lecz sposób jej artykułowania stanowi fundament społecznego zaufania. Kluczowym narzędziem dla NGO staje się sprawiedliwość proceduralna, czyli zasada, według której obywatele akceptują nawet trudne rozstrzygnięcia, o ile uznają reguły gry za uczciwe i przejrzyste. Nie chodzi tu o jałowy rytuał, lecz o poczucie, że głos jednostki został realnie usłyszany, a język komunikacji nie wykluczał nikogo z rozmowy. Gdy decyzje zapadają w zaciszu gabinetów, rodzi się opór wynikający z poczucia braku podmiotowości, a nie z samej treści postanowień. Wszak procedura nie jest jedynie biurokratycznym wymogiem, lecz społeczną technologią godności, pozwalającą uniknąć upokorzenia epistemicznego, czyli odbierania ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia.

Organizacje strażnicze powinny traktować procedury jako infrastrukturę wyobraźni obywatelskiej, poddając ją nieustannemu, krytycznemu audytowi. Nie wystarczy zapytać, czy konsultacje społeczne się odbyły; należy dociekać, czy ich struktura pozwalała na realną korektę projektu, czy też stanowiły one jedynie scenografię dla gotowych już rozwiązań. NGO pełnią tu rolę tłumaczy, którzy przekładają hermetyczny żargon instytucji na język codzienności, dbając, by doświadczenie mieszkańców nie zostało zredukowane do suchych wskaźników. Prawo pozbawione doświadczenia sprawiedliwości staje się zimne i odpychające, a partycypacja bez wpływu zamienia się w teatr, który uczy ludzi cynizmu. Prawdziwym wyzwaniem pozostaje pytanie, czy dana decyzja jest tylko poprawna formalnie, czy także godna zaufania w oczach wspólnoty.

Podobna pułapka czyha w obszarze edukacji, która zbyt często przypomina tresurę dobrych nawyków zamiast szkoły rozumnego dissentu. Edukacja zrównoważonego rozwoju nie może ograniczać się do segregowania odpadów czy oszczędzania wody, gdyż takie podejście uczy zachowań, ale całkowicie pomija zrozumienie systemów. Młody człowiek musi pojąć zjawisko akrazji, czyli bolesnej luki między posiadaną wiedzą a niemożnością podjęcia działania w niesprzyjających warunkach. Ktoś może doskonale wiedzieć, że transport publiczny jest lepszy dla klimatu, lecz jeśli autobus do jego miejscowości nie przyjeżdża, wiedza ta staje się źródłem frustracji, a nie zmiany. Słowa i teorie to narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość, dlatego edukacja musi uwzględniać realne ograniczenia, infrastrukturę oraz koszty.

Zrównoważona przyszłość wymaga transformacji w zamieszkanym domu, a nie na abstrakcyjnym placu budowy. Musimy operować pojęciem szans życiowych, które łączą obiektywne opcje wyboru z

ligaturami, czyli więziami i strukturami nadającymi życiu głębszy sens. Człowiek nie jest przecież aplikacją do aktualizacji, której wystarczy wgrać nową porcję danych, by zaczęła funkcjonować poprawnie. Działanie zależy od zaufania i realnych możliwości, a nie tylko od moralnego wzmożenia czy poprawności informacyjnej. NGO powinny budować warunki do sprawstwa, pamiętając, że ligatury bez opcji oznaczają ucisk, natomiast opcje pozbawione ligatur są po prostu pozbawione sensu. Nie mylmy wskaźnika z życiem, bo to w codziennym doświadczeniu rozstrzyga się los naszych wspólnych projektów.

Laboratoria zmiany: jak NGO mogą kształtować nową wyobraźnię

Organizacje pozarządowe powinny pełnić w systemie edukacji rolę znacznie odważniejszą niż szkoła systemowa, stając się swoistą strażą przednią krytycznego myślenia. Ich zadaniem jest nauka obywatelskiej kompetencji, czyli zdolności do krytycznej analizy wskaźników, rozpoznawania greenwashingu oraz rozumienia ukrytych konfliktów interesów, co pozwala obywatelom przestać być jedynie biernymi odbiorcami komunikatów. Zamiast wychowywać posłusznych wykonawców cudzej agendy, NGO mają szansę formować ludzi zdolnych do jej świadomego współtworzenia. To nie jest lekcja cynizmu, lecz niezbędny trening odporności na manipulację w świecie przeładowanym informacyjnym szumem. Pytanie o to, kto realnie korzysta na danej polityce i czy pod płaszczem „dobra wspólnego" nie kryje się prywatny zysk, staje się tu podstawowym ćwiczeniem z demokracji. Wszak słowa i teorie to narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość, o czym w ferworze aktywizmu często zapominamy.

Trzeci sektor posiada ogromną przewagę nad ociężałymi instytucjami publicznymi, ponieważ może znacznie szybciej testować język i sprawdzać jego społeczną skuteczność. NGO działają jak laboratoria nowych metafor społecznych, w których eksperymentuje się z redeskrypcją, czyli praktyką opisywania rzeczywistości nowymi słowami, co pozwala na radykalną zmianę postrzegania starych problemów. Mogą one na bieżąco obserwować, które sformułowania budują mosty, a które stawiają mury, raniąc lub wykluczając całe grupy społeczne. Dobra metafora nie jest bowiem jedynie estetyczną ozdobą tekstu, lecz stanowi infrastrukturę wyobraźni, wyznaczając granice tego, co w ogóle uznajemy za możliwe do zrealizowania. Kto zmienia metaforę, ten w istocie zmienia mapę możliwego działania, przesuwając granice społecznego horyzontu.

W praktyce oznacza to konieczność porzucenia zużytego, urzędniczego słownika na rzecz pojęć, które przywracają ludziom podmiotowość. Zamiast protekcjonalnego „beneficjenta" warto mówić o „uczestniku" lub „współautorze", a zamiast „aktywizować" – „odblokowywać sprawczość". Kiedy

słyszymy o „niskiej świadomości", NGO powinny widzieć raczej „brak realnych warunków działania" lub „doświadczenie instytucjonalnej bezradności", które paraliżuje lokalne wspólnoty. Nawet „opór społeczny" można zinterpretować na nowo jako „sygnał nierozpoznanego kosztu", co otwiera drogę do dialogu zamiast do konfrontacji. Transformacja w zamieszkanym domu, jak często określamy zmiany systemowe, wymaga bowiem negocjowania warunków z jego mieszkańcami, a nie narzucania im gotowych projektów przebudowy.

Kolejnym fundamentem pracy organizacji społecznych powinno być rozszerzanie naszego wspólnego „my" bez popadania w pułapkę paternalizmu. Solidarność musi być dialogiczna, co oznacza gotowość do zmiany własnego słownika pod wpływem autentycznego spotkania z drugim człowiekiem, a nie tylko włączanie go do wspólnoty na naszych warunkach. Istnieje tu realne ryzyko aneksji, gdy mówimy komuś: „przyjmiemy cię, jeśli zaczniesz mówić naszym językiem", co w istocie jest formą kulturowej kolonizacji. Organizacja pomagająca musi wystrzegać się upokorzenia epistemicznego, czyli praktyki polegającej na odbieraniu ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzucaniu im obcej siatki pojęć. Szacunek dla cudzej samokreacji jest tu równie ważny, co publiczna solidarność w ograniczaniu cierpienia.

Wspólnota ma obowiązek chronić przed przemocą i upokorzeniem, ale nie może rościć sobie prawa do definiowania cudzego szczęścia. NGO powinny operować między tymi dwoma biegunami, tworząc warunki do dokonywania sensownych wyborów, zamiast narzucać gotowe scenariusze życia. Solidarność pozbawiona miejsca na samokreację staje się opieką duszną i paraliżującą, podczas gdy samokreacja bez solidarności szybko wyradza się w egoizm w ładnym opakowaniu. W pracy pomocowej kluczowe jest, aby wsparcie nie zamieniało człowieka w „przypadek" lub statystykę, lecz wzmacniało jego głos. Rzecznictwo interesów grup wykluczonych nie może być tak głośne, by zagłuszać samych zainteresowanych, bo pomoc, która odbiera sprawczość, w dłuższej perspektywie jedynie utrwala niesprawiedliwość.

Dla polskich organizacji szczególnie użyteczne może być przejście od sprawiedliwości potrzeb do sprawiedliwości szans. Podczas gdy ta pierwsza pyta jedynie o to, czego ludziom brakuje – jedzenia, dachu nad głową czy pieniędzy – ta druga idzie o krok dalej, analizując realne możliwości zmiany życiowej sytuacji. Sprawiedliwość szans, czyli koncepcja łącząca obiektywne opcje wyboru z ligaturami, czyli więziami i strukturami nadającymi życiu sens, pozwala ocenić, czy nasze działania realnie wzmacniają ludzi. Czy mają oni kompetencje, zaufanie i narzędzia, by wybrać swoją drogę, czy jedynie walczą o przetrwanie w narzuconym im systemie? Dobra organizacja nie tylko łagodzi skutki biedy czy wykluczenia, ale przede wszystkim buduje opcje i wzmacnia społeczne więzi.

Pomoc interwencyjna jest oczywiście niezbędna, by zaspokoić głód czy zapewnić bezpieczeństwo, ale nie zmienia ona architektury niesprawiedliwości. Jeśli NGO chcą działać systemowo, muszą

pytać o przyczyny trwałych zależności i bariery, które czynią z procedur mury nie do przebicia. Należy badać, który język upokarza, a które instytucje systemowo ignorują głos słabszych, zamiast jedynie naklejać plastry na głębokie rany społeczne. Ligatury bez opcji oznaczają ucisk i stagnację, natomiast opcje bez ligatur są pozbawione sensu i prowadzą do atomizacji społeczeństwa. Równowaga między tymi elementami jest kluczem do budowania sprawiedliwego świata, w którym każdy ma szansę na godne życie.

Na koniec, NGO powinny stać się szkołą rozumnego antykonformizmu, który nie polega na wiecznej negacji, lecz na sprzeciwie wobec pustych, nowomownych haseł. Nie należy bezkrytycznie klaskać słownikom, które ładnie brzmią, lecz zawsze sprawdzać, komu tworzą one realne opcje, a komu narzucają ograniczające ligatury. Dotyczy to w równym stopniu państwa, biznesu, jak i samych organizacji pozarządowych, które bywają więźniami własnych, modnych pojęć. Pamiętajmy, że konflikt to nie anomalia do usunięcia, lecz twórczy rdzeń każdej wspólnoty i motor wolności, o ile potrafimy go konstruktywnie negocjować. Prawdziwa innowacja społeczna rodzi się tam, gdzie mamy odwagę zakwestionować zastany porządek w imię większej sprawiedliwości.

Od grantowej nowomowy do autentycznej sprawczości NGO

Musimy dziś postawić sobie niewygodne pytanie: czy nasz język nie stał się zbyt „grantowy", przypominając bardziej hermetyczny dialekt instytucji finansujących niż żywą mowę ludzi, którym chcemy służyć? Często wskaźniki projektu, te suche liczby w tabelkach, zastępują nam realny wpływ na rzeczywistość, a autentyczne partnerstwo mylimy z mechaniczną obecnością logotypów na banerach. Mówimy o partycypacji z wielkim namaszczeniem, choć bywa, że kluczowe decyzje zapadły w zaciszu gabinetów na długo przed pierwszym spotkaniem z mieszkańcami. Stosujemy język inkluzji z taką gorliwością, że paradoksalnie wykluczamy wszystkich, którzy nie posługują się naszym specyficznym kodem kulturowym. Sektor obywatelski, w swej szlachetności, również potrafi produkować własne, sztywne ortodoksje, tworząc słowniki tak poprawne, że aż martwe. Słowa stają się wtedy narzędziem dystansu, a nie porozumienia.

Taki język może moralizować, a nawet nieświadomie upokarzać tych, których staramy się do czegoś przekonać. Upokorzenie epistemiczne, czyli praktyka polegająca na odbieraniu ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzucaniu im obcej siatki pojęć, jest najkrótszą drogą do porażki każdej polityki publicznej. Zdarza się, że solidarność zamieniamy w tożsamościową autoprezentację, a aktywność w mediach społecznościowych mylimy z realną, mozolną zmianą społeczną. Można bowiem zakochać się w swoim słowniku równie mocno, jak administracja

państwowa kocha swoje procedury. Dlatego neopragmatyzm jest tak dobrym lekarstwem dla organizacji pozarządowych, przypominając nam, że słownik to tylko narzędzie. Jeśli nie działa, należy go zmienić, a jeśli zamyka rozmowę zamiast ją otwierać, trzeba mieć odwagę go zakwestionować.

Wkraczamy w erę, w której polskie NGO coraz częściej będą sięgać po narzędzia cyfrowe i sztuczną inteligencję. To ogromna szansa, ale i subtelne ryzyko, którego nie wolno nam zignorować w codziennej praktyce. AI może pomóc analizować dokumenty, upraszczać język urzędowy, mapować lokalne problemy czy wyszukiwać niewidoczne na pierwszy rzut oka wzorce w danych. Może stać się potężnym narzędziem demokratyzacji wiedzy, o ile nie zapomnimy, że operuje ona głównie w świecie zapisanych słowników i kategorii. Jeśli nie zachowamy czujności, algorytmy mogą wzmacniać język instytucji silniejszych, bo to one produkują najwięcej dokumentów, na których uczą się systemy. AI potrafi wygładzić autentyczny gniew społeczny do postaci bezpiecznych streszczeń, które nie budzą już żadnego niepokoju.

Istnieje niebezpieczeństwo, że technologia zamieni konsultacje społeczne w bezduszną analizę sentymentu, a żywego człowieka w statystyczny klaster opinii. Maksyma na te czasy brzmi: AI może być genialnym narzędziem tłumaczenia, ale nigdy nie powinna stać się wyrocznią sensu społecznego. Organizacje powinny używać tych narzędzi do poszerzania głosu ludzi, a nie do sprawnego zarządzania ich problemami ponad ich głowami. Chodzi o to, by upraszczać procedury, a nie wygładzać konflikty, które są przecież naturalnym elementem życia wspólnoty. AI powinna pomagać nam wykrywać niewidzialne bariery, a nie produkować eleganckie, ale pozbawione życia raporty, które trafią na dno szuflady.

Jeżeli mielibyśmy zamknąć tę metodologię w krótkim kodeksie neopragmatycznym, musielibyśmy zacząć od fundamentalnej zasady. Nie budujcie projektów na założeniu, że ludzie są problemem do naprawy, bo często problemem jest wadliwy słownik lub brak realnych opcji wyboru. Nie mówcie o zmianie, zanim nie zapytacie szczerze, co ludzie mogą w jej wyniku utracić, bo każda transformacja ma swój koszt. Nie mylcie też pozorowanych konsultacji z prawdziwą partycypacją, która zaczyna się dopiero tam, gdzie głos obywatela może realnie zmienić ostateczną decyzję. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zasada, według której ludzie akceptują trudne decyzje, jeśli czują, że reguły gry były uczciwe, jest tu kluczem.

Konflikt nie jest anomalią, którą należy za wszelką cenę usunąć, lecz wiedzą, która przyszła bez zaproszenia, niosąc często bardzo ważny komunikat. Zamiast moralizować, budujcie infrastrukturę możliwości, która pozwoli ludziom na realne działanie w ich własnym imieniu. Nie zawstydzajcie nikogo jego słownikiem, lecz pomóżcie mu zobaczyć, że można go rozwinąć, by lepiej opisywał świat. Pytajcie zawsze, czy dzięki waszym działaniom naprawdę wzrosły szanse życiowe, czyli

obiektywne opcje wyboru połączone z więziami nadającymi życiu sens. Nie zastępujcie ludzi narracją o ludziach i nie pozwalajcie, by solidarność stała się duszna i paternalistyczna. Nie bójcie się nauki, ale brońcie obywateli przed arogancją tych, którzy z wiedzy robią instrument uciszania innych.

Polskie organizacje pozarządowe działają dziś w bolesnej szczelinie między wielkimi słowami a bardzo małymi możliwościami. To przestrzeń rozpięta między Agendą 2030 a skromnym budżetem gminy, między globalną strategią a losem samotnej matki. Widzimy to w konflikcie między neutralnością klimatyczną a starym piecem, którego właściciel nie ma za co wymienić na nowy model. Partycypacja staje się pustym hasłem dla mieszkańca, który nie ma jak dojechać autobusem do lekarza i przestał wierzyć w jakiekolwiek obietnice. Innowacja cyfrowa pozostaje abstrakcją dla seniora, którego paraliżuje lęk przed wypełnieniem skomplikowanego formularza online. Właśnie dlatego sektor obywatelski jest tak ważny, bo przypomina, że zrównoważony rozwój nie dzieje się w próżni.

Zrównoważony rozwój dzieje się w zamieszkanym domu, który trzeba remontować, by nie stał się niebezpieczny dla domowników. Remont ten nie może być jednak formą eksmisji sensu ani przemocą ubraną w szaty dobrych intencji. Mieszkańcy nie mogą być traktowani wyłącznie jako źródło danych do kolejnej diagnozy społecznej. Prawdziwy rozwój to sztuka poszerzania ludzkich opcji przy jednoczesnym przekształcaniu więzi tak, by wolność nie była pusta, a solidarność nie stała się opresyjna. To jest język, którym organizacje mogą mówić naukowo i przyjaźnie zarazem, łącząc różne perspektywy w jedną, spójną całość. Jest to język Rorty'ego, bo rozumie siłę słowników, i język Dahrendorfa, bo pyta o realne szanse życiowe każdego człowieka.

To także język społeczeństwa otwartego, które nie boi się konfliktu, oraz język współczucia, który nie chce nikogo upokarzać. Potrzebujemy języka prawa dla procedur i języka ekonomii dla realnych możliwości, ale też języka antropologii, by dostrzec sens lokalnego życia. Przyszłość nie może być projektem napisanym ponad głowami ludzi, lecz musi stać się rozmową, w której odzyskują oni prawo do współtworzenia świata. Zrównoważony rozwój stał się niestety rodzajem globalnego zaklęcia administracyjnego, obecnego w strategiach korporacji i miast. Występuje wszędzie, a właśnie przez tę wszechobecność coraz rzadziej rozumiemy, co tak naprawdę ma oznaczać w praktyce.

Wielkie pojęcia publiczne starzeją się nie wtedy, gdy znikają, lecz gdy są powtarzane tak często, że przestają cokolwiek ryzykować. Stają się poprawne, obłe i intelektualnie bezbronne, tracąc swoją pierwotną siłę wyjaśniania rzeczywistości. Zrównoważony rozwój znalazł się właśnie w takim krytycznym momencie swojej historii. Choć wciąż posiada ogromną siłę moralną, coraz częściej traci swoją moc hermeneutyczną, czyli zdolność do rzetelnego interpretowania ludzkiego

doświadczenia. Nadal potrafi mobilizować do działania, ale coraz słabiej wyjaśnia mechanizmy współczesnego świata. Zbyt często obiecuje nam świetlaną przyszłość, używając przy tym języka procedury, który w ogóle nie dotyka realnego życia.

Zrównoważony rozwój: od sztywnej mapy do wspólnego kompasu

Źródłowa intuicja, którą zamierzam tutaj z całą stanowczością obronić, jawi się jako projekt radykalny, choć w żadnym razie nie nihilistyczny. Zrównoważony rozwój nie powinien być wszak rozumiany jako ustalony raz na zawsze stan docelowy, do którego społeczeństwa mają zostać doprowadzone przez chłodną kombinację ekspertokracji, technokratycznych wskaźników oraz pedagogiki moralnego zawstydzania. Jest to raczej otwarty proces ciągłego uczenia się, negocjacji i redeskrypcji, w którym wspólnoty oraz systemy gospodarcze wciąż na nowo ustalają, jakie formy życia warto ocalić, a jakie wymagają głębokiej przebudowy. W tym ujęciu zrównoważona przyszłość wymaga transformacji w zamieszkanym domu, a nie na jałowym, abstrakcyjnym placu budowy. Zrównoważony rozwój nie jest zatem gotową mapą królestwa przyszłości, lecz praktyką wspólnego orientowania się w terenie, który nieustannie zmienia się pod naszymi stopami. Kto żąda od niego ostatecznej, domkniętej definicji, zachowuje się trochę jak turysta, który oczekuje, że kompas poda mu dokładny adres hotelu.

Kompas nie służy jednak do podawania adresów, lecz do utrzymania właściwego kierunku w sytuacjach, gdy dostępna mapa okazuje się dramatycznie niepełna lub nieaktualna. Współczesna oficjalna architektura zrównoważonego rozwoju nadal opiera się na fundamencie Agendy 2030 oraz siedemnastu Celach Zrównoważonego Rozwoju, które państwa ONZ przyjęły niemal dekadę temu jako wspólny plan ratunkowy dla planety. Oficjalny język dyplomacji określa te cele jako pilne wezwanie do działania, mające jednoczyć kraje rozwinięte i rozwijające się w ramach globalnego partnerstwa. Formuła ta jest bez wątpienia politycznie nośna i potrzebna, niemniej z perspektywy filozoficznej pozostaje głęboko niewystarczająca. Nie rozstrzyga ona bowiem, jak prowadzić realną zmianę w świecie rozdartym przez konflikty wartości, drastyczne nierówności władzy oraz nieusuwalną przygodność naszych lokalnych słowników, toteż musimy szukać innych punktów oparcia. Słowa i teorie to przecież narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające jakąś jedną, obiektywną rzeczywistość, którą wystarczy po prostu opisać.

Warto przy tym zauważyć, że sama Organizacja Narodów Zjednoczonych coraz wyraźniej porzuca język prostego osiągania celów na rzecz znacznie bardziej złożonych narracji o systemowych transformacjach. Global Sustainable Development Report z 2023 roku, noszący znamienny tytuł

Times of Crisis, Times of Change, kładzie silny akcent na rolę nauki w przyspieszaniu głębokiej przebudowy instytucji globalnego zarządzania. Podobnie przyjęty w 2024 roku Pakt dla Przyszłości obejmuje szerokie spektrum zagadnień, od klimatu i praw człowieka po współpracę cyfrową i reformę mechanizmów międzynarodowych. To istotny znak epoki, świadczący o tym, że nawet globalna instytucjonalność zaczyna rozumieć, iż suchy katalog celów nie wystarczy, jeśli nie towarzyszy mu zdolność adaptacji języków i procedur. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zasada, według której ludzie akceptują trudne decyzje tylko wtedy, gdy czują, że reguły gry były uczciwe, staje się tu warunkiem sine qua non jakiegokolwiek sukcesu.

Właśnie w tym miejscu rodzi się jednak fundamentalne pytanie o to, czy obecny słownik zrównoważonego rozwoju rzeczywiście pomaga nam się uczyć, czy raczej tworzy coraz bardziej elegancką administrację zbiorowej bezradności. Czy proponowane rozwiązania realnie rozszerzają ludzkie szanse życiowe, czy jedynie produkują nowe, uciążliwe obowiązki regulacyjne, które dławią oddolną energię? Czy budujemy autentyczną solidarność, czy może tylko mnożymy jałowe rytuały moralnej poprawności, które mają uspokoić sumienia elit? Czy w tym nowym świecie dopuszczamy konflikt jako warunek wolności, czy marzymy o sterylnej przestrzeni, w której wszyscy grzecznie potwierdzają przygotowany wcześniej konsensus? Pytania te nie mają charakteru antyekologicznego, lecz stanowią fundament każdego poważnego myślenia o przyszłości, które nie chce osunąć się w autorytaryzm. Największym wrogiem zmian nie jest bowiem sceptyk zadający trudne pytania, lecz konformista, który bezrefleksyjnie powtarza właściwe hasła, nie rozumiejąc ich społecznych konsekwencji.

Książka Olafa Kühne, Iriny Siliny oraz Karstena Berra, której myśl tutaj rekonstruujemy, proponuje w tym zakresie przesunięcie o charakterze paradygmatycznym. Autorzy ci ujmują zrównoważony rozwój przez pryzmat neopragmatyzmu Richarda Rorty'ego oraz koncepcji szans życiowych Ralfa Dahrendorfa, co pozwala na zupełnie nowe rozłożenie akcentów, przy czym badacze ci nie uciekają od trudnych pytań o wolność jednostki. Ich propozycja nie traktuje zrównoważonego rozwoju jako teleologicznie zdefiniowanego celu, lecz jako przygodny i dialogiczny proces, który musi być stale kształtowany w ogniu społecznych negocjacji. Szanse życiowe, czyli koncepcja łącząca obiektywne opcje wyboru z ligaturami, czyli więziami i strukturami nadającymi życiu sens, stają się tu miarą sukcesu każdej polityki publicznej. Projekt ten wiąże się nierozerwalnie z Popperowską ideą społeczeństwa otwartego, w którym spór o wartości nie jest usterką systemu, lecz paliwem napędowym wolności. Ostatecznie bowiem struktury społeczne pozbawione realnych możliwości wyboru stają się formą opresji, podczas gdy same wybory, jeśli nie są zakorzenione w sensownych więziach, prowadzą jedynie do egzystencjalnej pustki.

Poza dyktaturą faktów: jak budować język ekologicznej nadziei

To ujęcie jest niezwykle cenne, ponieważ nie próbuje uczynić z ekologii nowej teologii politycznej, w której eksperci pełniliby rolę kapłanów odczytujących wyroki z natury. Nie zakłada ono istnienia jednej, obiektywnej prawdy o dobrym społeczeństwie, którą obywatele mieliby jedynie pokornie wdrażać w życie pod dyktando nauki. Przeciwnie, zachowuje twardy realizm wobec świata materialnego, lecz stanowczo odmawia naturze statusu automatycznego prawodawcy moralnego, co pozwala nam uniknąć pułapki determinizmu. Natura posiada wszak potężną moc sprawczą, lecz jest całkowicie pozbawiona autorytetu normatywnego, czyli zdolności do samodzielnego ustanawiania zasad etycznych. Może nas zalać, spalić, zatruć lub wykarmić, ale nie podpowie, jaki model sprawiedliwości społecznej przyjąć ani jak rozdzielić koszty transformacji w naszym wspólnym, zamieszkanym domu. To my, w toku nieustannych negocjacji, odpowiadamy przed sobą nawzajem za słowniki, które budujemy w odpowiedzi na opór materii.

W tym miejscu neopragmatyzm Richarda Rorty'ego staje się narzędziem pierwszej potrzeby, pozwalającym nam zrozumieć, że język nie jest lustrem natury, lecz ludzkim instrumentem. Rorty odrzuca reprezentacjonizm, czyli przekonanie o istnieniu neutralnego odbicia obiektywnej rzeczywistości w naszych pojęciach, wskazując na ich czysto utylitarny charakter. Świat oczywiście istnieje, lecz nasze opisy tego świata są jedynie narzędziami, a prawda i fałsz przysługują zdaniom i narracjom, a nie samej nagiej rzeczywistości. Dlatego kluczowe pytanie polityczne nie brzmi: który opis jest absolutnie zgodny z istotą rzeczy, lecz który z nich pomaga nam lepiej żyć i skuteczniej rozszerzać zakres wspólnego „my". Tu właśnie rodzi się liberalna ironia ekologiczna, czyli postawa łącząca świadomość przygodności własnych przekonań z kategoryczną niechęcią do okrucieństwa i upokarzania innych. Słowa i teorie to przecież narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość.

Jeśli język zrównoważonego rozwoju ma być skutecznym narzędziem, musimy pytać o jego użyteczność społeczną, a nie o jakąś mityczną, sakralną czystość definicji. Pytajmy zatem nie tylko o to, co jest obiektywnie prawdziwe w sensie fizycznym, lecz co pomaga nam rozwiązać kryzys bez produkowania nowego upokorzenia epistemicznego. Owo upokorzenie, polegające na odebraniu ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzuceniu im obcej siatki pojęć, jest najkrótszą drogą do społecznego oporu. Nie oznacza to bynajmniej lekceważenia faktów, lecz zrozumienie, że dane klimatyczne nigdy nie przemawiają w próżni, zawsze wchodząc w gęstą sieć ludzkich interesów i emocji. Między globalną temperaturą a decyzją rady gminy rozpościera się cała

infrastruktura wyobraźni, której nie da się zastąpić suchym wykresem. Fakty są twarde, ale ich interpretacja to domena kultury.

Dane klimatyczne są realne, ale sposób ich społecznego przetworzenia nie jest dany przez sam klimat, lecz wymaga żmudnej pracy nad wspólnym językiem. Między modelem naukowym a lękiem pracownika kopalni leży przestrzeń, którą doskonale opisuje teoria trzech światów Karla Poppera, chroniąca nas przed redukcjonizmem. Świat pierwszy to rzeczywistość fizyczna, materia ożywiona i nieożywiona, klimat oraz cała infrastruktura, która nas otacza i warunkuje nasze przetrwanie. Świat drugi to indywidualna świadomość, subiektywne doświadczenie, pamięć miejsca oraz emocje, takie jak zachwyt czy lęk przed nieznaną przyszłością. Świat trzeci obejmuje natomiast wytwory kultury, nauki, prawa i polityki, czyli wszystkie te wskaźniki i strategie, które próbujemy nałożyć na rzeczywistość. Bez zrozumienia relacji między tymi sferami, polityka klimatyczna pozostanie jedynie martwym zapisem na papierze.

W badaniach nad krajobrazem Olaf Kühne i jego współpracownicy rozwinęli tę myśl, wskazując na konieczność rozróżnienia między krajobrazem fizycznym a tym konstruowanym społecznie i emocjonalnie. Wskazują oni, że te trzy wymiary są nierozerwalnie połączone przez perspektywę indywidualną, co pozwala znacznie lepiej zrozumieć naturę współczesnych konfliktów przestrzennych. To rozróżnienie stanowi znakomite antidotum na prymitywną wersję polityki zrównoważonego rozwoju, która próbuje przejść bezpośrednio ze świata pierwszego do świata trzeciego, całkowicie ignorując ludzkie doświadczenie. Takie działanie to budowanie na pustym placu budowy, gdzie zapomniano o fundamentach, jakimi są godność i poczucie sprawstwa obywateli. Zrównoważona przyszłość wymaga przecież transformacji w zamieszkanym domu, a nie w sterylnym laboratorium ekspertów. Prawdziwa zmiana zachodzi tam, gdzie nauka spotyka się z życiem.

Triangulacja światów: jak modernizować dom, nie burząc go

Technokrata patrzy na świat przez pryzmat arkusza kalkulacyjnego, gdzie emisje, zasoby i bilanse energetyczne układają się w logiczne, choć bezduszne mapy ryzyka. Na tej podstawie buduje regulacje, wierząc, że rzeczywistość posłusznie nagnie się do liczb, wskaźników urbanistycznych i modeli transportowych. Problem polega jednak na tym, że między twardą materią a literą prawa zawsze rozpościera się świat drugi: przestrzeń człowieka doświadczającego zmiany na własnej skórze. To właśnie w tym wewnętrznym laboratorium wiatrak na horyzoncie przestaje być czystym źródłem kilowatogodzin, stając się albo symbolem odpowiedzialności, albo bolesną raną w

krajobrazie. Podobnie zamknięcie kopalni rzadko bywa jedynie operacją na miksie energetycznym; dla wielu to gwałtowne zerwanie genealogii pracy i tożsamości budowanej przez pokolenia. Nowa polityka mobilności, choć w teorii emancypuje nas od spalin, w praktyce może być odczytana jako wyraz pogardy wobec tych, których dotknęło wykluczenie transportowe. Jeśli zignorujemy ten subiektywny wymiar, świat drugi powróci do nas z nawiązką pod postacią buntu, nieufności, sarkazmu czy populistycznego gniewu. Człowiek zignorowany jako podmiot powraca później jako nieprzewidziany koszt wdrożeniowy.

Prawdziwie zrównoważony rozwój nie może być zatem dyktatem jednej perspektywy, lecz musi stać się procesem triangulacji światów. Nie wolno nam redukować go wyłącznie do ekologicznej fizyki, ponieważ człowiek nie jest istotą żyjącą w sterylnych parametrach środowiskowych. Z drugiej strony, błędem byłoby sprowadzenie go do samej psychologii postaw, gdyż świat materialny stawia realny opór, którego nie da się wynegocjować samym nastawieniem. Największym jednak grzechem jest redukcja do polityki dokumentów, gdzie martwe instytucje próbują zastąpić żywe doświadczenie. Triangulacja oznacza, że fakty fizyczne, indywidualne przeżycia i społeczne konstrukty muszą nieustannie wchodzić ze sobą w dialog i wzajemnie się korygować. Dopiero w takim tyglu rodzi się polityka zdolna do uczenia się na własnych błędach, a nie tylko do ich powielania. Donald Davidson dostarcza tu kluczowego elementu: skuteczna komunikacja wymaga nie tylko wspólnego świata, ale i zasady życzliwości. Ludzie porozumiewają się nie dlatego, że ich wnętrza są identyczne, lecz dlatego, że odnoszą się do wspólnych przedmiotów i praktyk, ucząc się interpretować cudze wypowiedzi jako zasadniczo sensowne.

W sporze o przyszłość planety ta prosta zasada jest nagminnie lekceważona, co prowadzi do zjawiska, jakim jest upokorzenie epistemiczne, czyli odebranie ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzucenie im obcej siatki pojęć. Nie wolno zaczynać rozmowy od milczącego założenia, że nasz oponent jest moralnie upośledzony lub intelektualnie ograniczony. Jeśli ktoś z determinacją broni lokalnego krajobrazu przed nową inwestycją, nie musi być wcale wrogiem klimatu, lecz strażnikiem wartości, których nie ujęto w tabeli. Strach przed regulacjami środowiskowymi nie czyni z nikogo przeciwnika przyszłych pokoleń, a żądanie sprawiedliwej kompensacji nie jest dowodem na prymitywny egoizm. Być może taki człowiek operuje po prostu słownikiem, w którym bezpieczeństwo, godność, status i pamięć miejsca ważą znacznie więcej niż abstrakcyjna optymalizacja systemowa. Właśnie dlatego kluczowym pojęciem staje się redeskrypcja, czyli twórcze przepisanie słownika tak, aby lepiej odpowiadał nowym wyzwaniom, nie upokarzając przy tym uczestników sporu. Redeskrypcja nie jest zamachem stanu w królestwie pojęć; to raczej recykling starych słowników, by otworzyć większą przestrzeń do wspólnego działania.

Czasem nowa metafora okazuje się skuteczniejsza niż najbardziej dopracowana doktryna, ponieważ nie wchodzi ona drzwiami frontowymi jako surowy rozkaz, lecz osiada w wyobraźni i zmienia trajektorię myślenia. Pojawia się tu niezwykle trafna metafora transformacji w zamieszkanym domu, która znacznie lepiej oddaje naturę zmian niż technokratyczne slogany strategiczne. Musimy zrozumieć, że społeczeństwa nie są pustymi działkami inwestycyjnymi, na których można bezkarnie wznieść idealny model przyszłości od zera. Są one raczej starymi domostwami, pełnymi rodzinnych historii, prowizorycznych instalacji, odziedziczonych mebli i schodów, które skrzypią pamięcią minionych lat. Modernizacja takiego obiektu wymaga niezwykłej ostrożności i wyczucia, a nie tylko ciężkiego sprzętu. Nie chodzi o to, by nie zmieniać niczego – wszak czasem trzeba wymienić dach, fundamenty czy całą instalację elektryczną. Jednak nie wolno tego robić w sposób, który traktuje mieszkańców jak uciążliwą przeszkodę dla genialnego projektu architektonicznego. Zrównoważony rozwój potrzebuje więc nie tylko inżynierów i prawników, ale przede wszystkim antropologów, socjologów konfliktu i teoretyków języka.

Potrzebujemy ekonomii, która dostrzega koszty alternatywne i nierówności w dostępie do opcji, oraz prawa, które nie myli legalności procedury z poczuciem sprawiedliwości proceduralnej, czyli zasady, według której ludzie akceptują trudne decyzje, jeśli czują, że reguły gry były uczciwe. Antropologia uczy nas, że krajobraz to nie tylko przestrzeń fizyczna, lecz nośnik statusu i przynależności, którego nie da się wycenić w prostym bilansie zysków i strat. Akceptacja zmian nie rodzi się z prezentacji w programie PowerPoint, choć PowerPoint czasem zachowuje się, jakby był młodszym bratem objawienia. Teoria szans życiowych Ralfa Dahrendorfa wnosi tutaj niezbędny fundament normatywny, definiując szanse jako realne możliwości rozwoju jednostki w społeczeństwie. Nie są one czystą wolnością formalną, która bez odpowiednich zasobów i edukacji staje się jedynie pustą dekoracją, ani też dobrostanem narzuconym odgórnie przez państwo. Dahrendorf słusznie ujmuje szanse życiowe jako dynamiczne napięcie między opcjami a ligaturami. Opcje to nasze pola manewru, dostęp do technologii, pracy i mobilności, natomiast ligatury to więzi, normy i tradycje nadające życiu sens. Pamiętajmy, że ligatury bez opcji oznaczają ucisk, a opcje bez ligatur są pozbawione sensu.

Ostatecznie zrównoważona przyszłość wymaga od nas czegoś, co można nazwać liberalną ironią ekologiczną – postawy uznającej przygodność własnych przekonań przy jednoczesnym dążeniu do unikania okrucieństwa i cierpienia. Wymaga to również wysokiej obywatelskiej kompetencji, czyli zdolności do krytycznej analizy wskaźników i rozpoznawania momentów, w których język służy wykluczeniu zamiast współpracy. Musimy traktować język jako działanie, uświadamiając sobie, że sposób, w jaki opisujemy problem, determinuje naszą relację z ludźmi, których ten problem dotyczy bezpośrednio. Jeśli zrównoważony rozwój ma się udać, nie może być on projektem realizowanym przeciwko komuś, lecz procesem, w którym konflikt uznaje się za twórczy rdzeń

wspólnoty i motor wolności. Słowa i teorie to narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość, dlatego musimy dobierać je tak, by budowały mosty, a nie mury. Nie myl wskaźnika z życiem, bo statystyka nigdy nie poczuje zapachu dymu z komina ani nie zrozumie lęku przed utratą dachu nad głową. Tylko poprzez uważną triangulację faktów i ludzkich emocji możemy przeprowadzić modernizację, która nie zamieni naszego wspólnego domu w ruinę.

Poza wskaźniki: w stronę sprawiedliwości i ludzkiego sensu

Ta maksyma stanowi jedno z najistotniejszych sformułowań, jakie można wprowadzić do współczesnej debaty o zrównoważonym rozwoju, gdyż bez niej ekologiczna polityka niebezpiecznie dryfuje w stronę dwóch skrajności. Z jednej strony grozi nam autorytarna pedagogika, czyli system, w którym aparat ekspercki definiuje jedyny słuszny model przyszłości i narzuca go społeczeństwu jako bezalternatywną konieczność. Z drugiej strony rozciąga się neoliberalna pustka wyboru, gdzie obywatel zostaje zredukowany do konsumenta, a jedyną odpowiedzią na kryzys planetarny ma być rzekomo nieomylny rynek oraz innowacje technologiczne. Oba te stanowiska okazują się głęboko niewystarczające, ponieważ pierwsze z nich niszczy wolność w imię odgórnie zadekretowanego przetrwania, drugie zaś mnoży opcje pozbawione sensotwórczego zakorzenienia. Zrównoważona przyszłość wymaga przecież transformacji w zamieszkanym domu, a nie na pustym placu budowy, gdzie stare więzi zostają zrównane z ziemią przez walec administracyjnej elegancji.

Z perspektywy Ralfa Dahrendorfa zrównoważony rozwój musi realizować zadanie znacznie subtelniejsze, polegające na pomnażaniu realnie dostępnych szans życiowych, które łączą obiektywne opcje wyboru z sensem płynącym z przynależności. Szanse życiowe, czyli koncepcja spajająca wolność wyboru z ligaturami, czyli więziami i strukturami nadającymi życiu głębię, pozwalają ocenić, czy dany projekt wzmacnia ludzi, czy jedynie narzuca im nowe normy. Ligatury bez opcji oznaczają bowiem ucisk i stagnację, podczas gdy opcje pozbawione ligatur stają się jałowe i prowadzą do społecznej atomizacji. Właśnie dlatego zrównoważony rozwój musi wspierać więzi przyjmowane refleksyjnie, a nie wymuszane przez moralną presję lub administracyjny przymus, co prowadzi nas do konieczności krytycznej korekty Celów Zrównoważonego Rozwoju. SDG są bez wątpienia najważniejszym globalnym słownikiem współpracy, jakiego dorobiliśmy się po 2015 roku, i nie wolno ich lekceważyć z pozycji taniego antyglobalizmu.

Problem polega jednak na tym, że ten globalny słownik wykazuje silną skłonność do uniwersalizacji, kwantyfikacji oraz poszukiwania estetyki czystych tabel statystycznych. Choć cele te są doskonale zrozumiałe dla międzynarodowych instytucji, rzadko dają się przełożyć na

bezpośrednie, codzienne doświadczenie ludzi żyjących poza bańką ekspercką. Są one użyteczne jako mapa najważniejszych problemów ludzkości, lecz zawodzą jako metoda negocjowania realnych konfliktów, które wybuchają na styku różnych sfer życia. Wytwarzają one katalog pożądanych dóbr, ale zbyt rzadko rozpoznają, że te dobra niemal zawsze wchodzą ze sobą w bolesne i trudne do rozstrzygnięcia kolizje. Rozwój gospodarczy może przecież drastycznie kolidować z ograniczeniami ekologicznymi, a ochrona dziewiczego krajobrazu bywa nie do pogodzenia z budową niezbędnej infrastruktury energetycznej.

Podobnie cyfryzacja, która z jednej strony wspiera powszechny dostęp do usług, z drugiej może pogłębiać nadzór i utrwalać nierówności kompetencyjne między grupami społecznymi. Zielona modernizacja, choć obiecuje nowe miejsca pracy, niejednokrotnie niszczy dawne ligatury zawodowe, pozostawiając całe społeczności w poczuciu dotkliwej straty i braku uznania. Dlatego konstruktywna krytyka SDG nie jest gestem destrukcji, lecz niezbędnym warunkiem ich dojrzalszego i bardziej ludzkiego użycia w praktyce politycznej. W duchu neopragmatyzmu należy stanowczo odróżnić cele traktowane jako globalny słownik koordynacji od celów, które miałyby stanowić rzekomo kompletny i ostateczny opis dobrej przyszłości. Pierwsze podejście jest nam dzisiaj niezbędne do przetrwania, drugie zaś byłoby skrajnie niebezpieczne dla fundamentów społeczeństwa otwartego.

Kiedy słownik administracyjny zaczyna udawać metafizykę i rości sobie prawo do definiowania pełni ludzkiego szczęścia, trzeba mu delikatnie, lecz stanowczo odebrać nimb świętości. Społeczeństwo otwarte nie potrzebuje bowiem nieomylnych wskaźników, lecz uczciwych procedur uczenia się na błędach i ciągłego korygowania kursu w obliczu nowych faktów. Właśnie w tym miejscu wyłania się dwanaście kryteriów nowego słownika zrównoważonego rozwoju, które nie są jedynie technicznym dodatkiem, lecz stanowią rdzeń nowej redeskrypcji świata. Odejście od reprezentacjonizmu oznacza tutaj, że nasz język nie ma już udawać neutralnego lustra natury, lecz stać się narzędziem aktywnego kształtowania rzeczywistości. Triangulacja światów nakazuje nam natomiast łączyć w jedną spójną całość materię, świadomość oraz kulturę, unikając redukowania człowieka do roli biologicznego automatu.

Konstruktywna krytyka ma za zadanie tworzyć nowe opisy, które zapraszają do działania, zamiast jedynie niszczyć stare struktury bez oferowania jakiejkolwiek sensownej alternatywy. Kluczowe staje się unikanie bólu i upokorzenia, co chroni nas przed arogancją ekspertów oraz aktywistów, którzy w imię wyższych celów bywają skłonni ignorować ludzką godność. Prymat metafory nad teorią przypomina nam z kolei, że ludzie zmieniają swoje życiowe praktyki nie pod wpływem suchych argumentów, lecz pod wpływem obrazów, które pozwalają im inaczej zobaczyć własne życie. Orientacja na korzyści wymaga nieustannego pytania o praktyczną wartość pojęć, podczas

gdy uznanie wielości zamiast jednej prawdy skutecznie zabezpiecza nasz cenny pluralizm. Relacja samokreacji i solidarności chroni jednostkę przed presją kolektywu, a wspólnotę przed niszczącym działaniem skrajnego egoizmu.

Wrażliwość na konflikt czyni spór funkcjonalnym elementem rozwoju, a nie anomalią, którą należałoby za wszelką cenę usunąć z przestrzeni publicznej. Integracja i ponowne wykorzystanie istniejących słowników otwierają drogę do przyszłych korekt, natomiast lokalność chroni nas przed epistemicznym kolonializmem uniwersalnych recept. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zasada, według której ludzie akceptują trudne decyzje, jeśli czują, że reguły gry były uczciwe, przenosi punkt ciężkości z narzucania wyników na warunki uczestnictwa. Jest to szczególnie istotne dla prawników i ekonomistów, którzy zbyt często zadowalają się formalną poprawnością procedur lub czystą efektywnością alokacji zasobów. Tymczasem zrównoważony rozwój wymaga pytania znacznie głębszego: czy ludzie doświadczają obowiązujących reguł jako sprawiedliwych i czy mają realne możliwości działania w ich ramach?

Procedura, która pozostaje legalna, lecz jest społecznie niezrozumiała, nieuchronnie produkuje opór, a alokacja, która niszczy ligatury, prowadzi prostą drogą do alienacji i gniewu. Zrównoważony rozwój wymaga więc prawa proceduralnie wrażliwego oraz ekonomii instytucjonalnie pokornej, która dostrzega w człowieku kogoś więcej niż tylko nosiciela preferencji konsumenckich. Największą słabością wielu współczesnych kampanii proekologicznych jest akrazja, czyli luka między posiadaną wiedzą a podejmowanym działaniem, której nie da się zasypać samymi faktami. Ludzie często doskonale wiedzą, co należałoby zrobić, a mimo to tego nie robią, i nie dzieje się tak dlatego, że są nieracjonalni lub źle poinformowani. Działanie nie wynika bowiem wyłącznie z informacji, lecz z kosztów, nawyków, dostępnej infrastruktury, statusu społecznego oraz głęboko zakorzenionych wyobrażeń o sprawiedliwości.

Edukacja, która traktuje obywatela jak źle zaprogramowanego ucznia, któremu trzeba wgrać poprawną treść, jest z góry skazana na bolesne rozczarowanie i porażkę. Człowiek nie jest wadliwym chatbotem obywatelskim, który potrzebuje jedynie aktualizacji bazy danych, by zacząć funkcjonować zgodnie z oczekiwaniami projektantów systemu. Zamiast tego trzeba zmienić realne warunki działania, język sensu oraz poczucie uczestnictwa w procesach decyzyjnych, co prowadzi nas do centralnego napięcia między samorealizacją a solidarnością. W rzeczywistości nie jest to prosta opozycja, lecz niezwykle produktywne napięcie, które napędza rozwój nowoczesnych społeczeństw i chroni je przed skostnieniem. Richard Rorty słusznie rozróżniał prywatną samokreację, gdzie jednostka tworzy własną estetykę istnienia, od publicznej solidarności, w której pytamy o ograniczanie okrucieństwa i niesprawiedliwości.

Nie da się tych dwóch sfer ostatecznie pojednać w ramach jednej, spójnej teorii, ale można i należy je praktycznie równoważyć w codziennym doświadczeniu społecznym. Społeczeństwo, które poświęca samorealizację jednostki na rzecz wymuszonej solidarności, nieuchronnie zmierza ku szaremu i dusznemu kolektywizmowi. Z kolei system, który poświęca solidarność na rzecz nieograniczonej samorealizacji, dryfuje w stronę cynicznej fragmentacji i rozpadu wspólnoty. Zrównoważony rozwój wymaga obu tych elementów jednocześnie: prawa do kroczenia własną, unikalną ścieżką oraz odpowiedzialności za warunki, w których inni także mogą realizować swoje cele. Liberalna ironia ekologiczna, czyli postawa uznająca przygodność własnych przekonań przy jednoczesnym dążeniu do unikania cierpienia, pozwala nam trwać w tym napięciu bez popadania w dogmatyzm. Nie myl wskaźnika z życiem, bo to właśnie w tej szczelinie między danymi a ludzkim losem rozstrzyga się nasza wspólna przyszłość.

Zrównoważony rozwój: od technokratycznej pałki do dialogu

Świadomość, że własne przekonania są jedynie przygodnym splotem okoliczności, a nie prawdą wyrytą w strukturze geologicznej czy metafizycznej, bywa niezwykle wyzwalająca. Taka postawa nie prowadzi jednak do jałowego cynizmu, lecz paradoksalnie wzmacnia imperatyw unikania okrucieństwa wobec innych istot. Rozumiemy bowiem, jak kruche i podatne na zranienie są ludzkie słowniki sensu, którymi próbujemy oswoić otaczający nas świat. W obszarze zrównoważonego rozwoju ta perspektywa, określana jako liberalna ironia ekologiczna, okazuje się dzisiaj wręcz bezcenna. Pozwala ona na uznanie przygodności własnych racji przy jednoczesnym dążeniu do minimalizowania cierpienia w procesie nieuchronnych zmian. Ironistka nie grzmi z ambony o jedynej słusznej drodze do dobrego życia, lecz zaprasza do wspólnego stołu.

Zamiast narzucać gotowe rozwiązania, mówi ona: „mierzymy się z realnymi kryzysami materialnymi, ale nasze odpowiedzi muszą zostać wynegocjowane". Kluczowe jest tutaj zachowanie godności tych wszystkich ludzi, których codzienne życie zostanie wkrótce głęboko przebudowane. Taka postawa wcale nie jest przejawem słabości, lecz w istocie okazuje się znacznie bardziej wymagająca niż moralizatorski radykalizm. O wiele łatwiej jest przecież potępić oponenta, niż mozolnie przebudowywać słownik konfliktu tak, by druga strona nie czuła się zaszczuta. Musimy stworzyć przestrzeń, w której przeciwnik nie musi wyrzekać się własnej tożsamości, zanim w ogóle zacznie z nami rozmawiać. To fundament sprawiedliwości proceduralnej, czyli zasady, według której akceptujemy trudne decyzje, gdy czujemy się rzetelnie wysłuchani.

Niezwykle łatwo jest opisać ludzi stawiających opór jako jednostki zacofane, egoistyczne lub po prostu zmanipulowane przez populistyczną narrację. Znacznie trudniej jest jednak zrozumieć, które więzi i struktury nadające życiu sens chronią ich przed egzystencjalną pustką. Musimy rzetelnie ocenić, które opcje wyboru są dla nich realnie dostępne, a które widnieją jedynie w kolorowych broszurach. Zrównoważony rozwój, rozumiany jako projekt neopragmatyczny, nie stanowi osłabienia ambicji ekologicznej, lecz jest dowodem jej intelektualnej dojrzałości. Nie obiecuje on mniej w kwestii przyszłości, ale mówi o niej w sposób zdecydowanie bardziej uczciwy. Pamiętajmy wszak, że słowa i teorie to narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość.

Cele zrównoważonego rozwoju nie powinny być traktowane jak nienaruszalne tablice z góry Synaj, lecz jako słownik do ciągłej redeskrypcji. Solidarność, której tak bardzo potrzebujemy, musi być budowana bez uciekania się do mechanizmów upokorzenia epistemicznego. Polega ono na odebraniu ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzuceniu im obcej, technokratycznej siatki pojęć. Chcemy przecież wolności, która posiada swoje więzi sensu, a nie tylko pustą swobodę wyboru w próżni społecznej. Nawet konflikt, jeśli ma być twórczy, musi pozostać proceduralnie cywilizowany i oparty na wzajemnym szacunku stron. Przyszłość nie rozstrzygnie się wyłącznie w tabelach emisji, lecz przede wszystkim w języku, którym te emisje opiszemy.

Kto narzuci społeczeństwu zły słownik, ten przegra batalię o klimat nawet wtedy, gdy będzie dysponował najlepszymi danymi naukowymi. Sukces odniesie ten, kto stworzy język bardziej gościnny, precyzyjny i odporny na destrukcyjne konflikty tożsamościowe. Język jako działanie, czyli traktowanie słów jako pierwszego kroku zapraszającego do współpracy, determinuje naszą relację z odbiorcą. Nie budujmy więc utopii na fundamencie cudzego upokorzenia, bo taka konstrukcja prędzej czy później musi runąć. Nie wolno nam mylić wskaźnika z życiem ani traktować lokalnego oporu jako błędu w oprogramowaniu ludzkiej świadomości. Zamiast wymieniać stary słownik siłą, spróbujmy poddać go recyklingowi poprzez użycie lepszej, bardziej nośnej metafory.

Zrównoważona przyszłość nie jest przecież katedrą wznoszoną na pustym placu, lecz przebudową starego, zamieszkanego domu. W tym wspólnym budynku trzeba oczywiście wymienić instalację, uszczelnić dach i czasem wyburzyć ścianę nośną naszych złych nawyków. Jednak mieszkańcy muszą pozostać pełnoprawnymi współautorami tego projektu, a nie tylko przypadkowymi lokatorami podlegającymi procedurze. Zrównoważony rozwój stał się paradoksalnie globalnym zaklęciem administracyjnym, obecnym w strategiach niemal każdej korporacji i instytucji. Występuje on wszędzie, od funduszy inwestycyjnych po kampanie społeczne, co sprawia, że coraz

trudniej uchwycić jego właściwy sens. Wielkie pojęcia publiczne starzeją się najszybciej wtedy, gdy są powtarzane tak często, że przestają nieść ryzyko.

Obecnie zrównoważony rozwój wciąż posiada znaczną siłę moralną, lecz niestety coraz częściej traci swoją niezbędną siłę hermeneutyczną. Nadal potrafi mobilizować tłumy, ale coraz słabiej wyjaśnia zawiłości świata, w którym przyszło nam dzisiaj funkcjonować. Zbyt często posługuje się językiem procedury, który nie dotyka żywego doświadczenia i codziennych trosk zwykłego człowieka. Obywatelska kompetencja, czyli zdolność do krytycznej analizy wskaźników i rozpoznawania greenwashingu, staje się tu kluczową umiejętnością. Intuicja, którą musimy za wszelką cenę obronić, jest w swojej istocie radykalna, choć daleka od destrukcyjnego nihilizmu. Nie powinniśmy postrzegać tego procesu jako ustalonego raz na zawsze stanu, do którego doprowadzi nas oświecona ekspertokracja.

W tym ujęciu zrównoważony rozwój staje się procesem ciągłego uczenia się, negocjacji oraz redeskrypcji naszych wspólnych celów. Wspólnoty i instytucje muszą wciąż na nowo ustalać, jakie formy życia warto ocalić, a jakie wymagają głębokiej rewizji. Szanse życiowe, łączące obiektywne opcje z więziami nadającymi sens, pozwalają ocenić, czy projekt realnie wzmacnia ludzi. Zrównoważony rozwój nie jest gotową mapą królestwa przyszłości, lecz raczej kompasem pomagającym nam wyznaczyć właściwy kierunek. Kto żąda od niego ostatecznej i domkniętej definicji, przypomina kogoś, kto oczekuje od igły magnetycznej podania dokładnego adresu hotelu. Prawdziwa mądrość polega na zrozumieniu, że droga powstaje pod stopami idącego, a nie w sterylnym gabinecie planisty.

Od administracji bezradności ku dialogicznej odpowiedzialności

Kompas nie służy do podziwiania precyzji igły magnetycznej, lecz do utrzymania kursu w momentach, gdy mapa okazuje się bolesnym uproszczeniem terenu. Dzisiejsza oficjalna architektura zrównoważonego rozwoju, wzniesiona na fundamencie Agendy 2030 i siedemnastu celów ONZ, przypomina taki właśnie projekt nawigacyjny dla całej ludzkości. Choć język dyplomacji maluje wizję globalnego partnerstwa na rzecz powszechnego dobrobytu, ta elegancka konstrukcja wydaje się filozoficznie zbyt krucha, gdyż nie bierze pod uwagę ciężaru realnych konfliktów. Nie rozstrzyga ona bowiem, jak projektować zmianę w świecie, w którym ścierają się sprzeczne interesy, nierówności władzy oraz nieusuwalna przygodność naszych lokalnych słowników. Wszak słowa i teorie to narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra idealnie odbijające złożoność rzeczywistości.

Sama Organizacja Narodów Zjednoczonych zaczyna dostrzegać, że statyczny katalog życzeń przestaje wystarczać w obliczu narastającej polikryzysowości współczesnego świata. Raport Global Sustainable Development z 2023 roku, wymownie zatytułowany „Times of Crisis, Times of Change", przesuwa akcent z pasywnego odhaczania celów na głęboką transformację instytucji globalnego zarządzania. Podobny duch ożywia przyjęty w 2024 roku Pakt dla Przyszłości, który próbuje objąć szerokie spektrum wyzwań: od klimatu i praw człowieka po współpracę cyfrową oraz mechanizmy wsparcia dla młodych pokoleń. To istotny znak epoki, sugerujący, że nawet największe struktury biurokratyczne rozumieją potrzebę przebudowy własnych procedur i języków. Niemniej jednak samo poszerzanie listy priorytetów nie gwarantuje jeszcze, że nasze instytucje odzyskają zdolność do realnej adaptacji w zamieszkanym domu.

W tym miejscu rodzi się fundamentalne pytanie o kierunek zmian: czy obecny słownik zrównoważonego rozwoju faktycznie wspiera społeczną naukę, czy raczej buduje coraz bardziej wyrafinowaną administrację bezradności? Zastanówmy się, czy te wszystkie regulacje realnie poszerzają nasze szanse życiowe, czyli splot obiektywnych możliwości wyboru z ligaturami nadającymi życiu sens, czy jedynie mnożą obowiązki. Czy budujemy autentyczną solidarność, czy może jedynie polerujemy fasadę moralnej poprawności, która boi się jakiegokolwiek autentycznego zgrzytu? Prawdziwy dialog wymaga uznania, że konflikt to nie anomalia do usunięcia, lecz twórczy motor wolności i rdzeń każdej żywej wspólnoty. Bez zgody na spór zrównoważony rozwój staje się jedynie grzecznym potwierdzaniem wcześniej przygotowanego konsensusu, który nikogo nie angażuje.

Największym zagrożeniem dla ekologicznej przyszłości nie jest wcale głośny sceptyk zadający trudne pytania, lecz cichy konformista, który recytuje właściwe hasła, zupełnie nie pojmując ich społecznych konsekwencji. Olaf Kühne, Irina Silina i Karsten Berr proponują zatem inne podejście, czerpiąc z neopragmatyzmu Richarda Rorty'ego oraz koncepcji szans życiowych Ralfa Dahrendorfa. W ich ujęciu zrównoważony rozwój nie jest teleologicznym, z góry zdefiniowanym celem, lecz przygodnym i dialogicznym procesem, który musimy nieustannie kształtować na nowo. Taka wizja łączy Popperowską ideę społeczeństwa otwartego z koniecznością godzenia indywidualnej wolności ze zbiorową odpowiedzialnością za wspólny świat. Wymaga to postawy liberalnej ironii ekologicznej, czyli uznania przygodności własnych przekonań przy jednoczesnym dążeniu do unikania okrucieństwa i degradacji planety.

Poza teologię natury: pragmatyczny kompas dla ekologii

To podejście posiada niebagatelną wartość, ponieważ skutecznie chroni ekologię przed przeobrażeniem się w nową, świecką teologię polityczną. Nie próbuje ono bowiem narzucić nam jedynej słusznej wizji dobrego społeczeństwa, rzekomo odczytanej przez oświeconych ekspertów z „księgi natury", którą obywatele mieliby jedynie pokornie wykonać. Zamiast tego zachowuje twardy, niemal surowy realizm wobec świata materialnego, odmawiając jednocześnie przyrodzie statusu automatycznego prawodawcy moralnego. Natura posiada wszak potężną moc sprawczą – potrafi nas zalać, spalić, wykarmić lub zatruć – lecz pozostaje milcząca w kwestiach normatywnych. Nie podpowie nam sama z siebie, jaki model sprawiedliwości społecznej przyjąć, jak rozdzielić koszty transformacji ani jak pogodzić wolność jednostki z solidarnością wobec przyszłych pokoleń. To my, budując nasze słowniki w odpowiedzi na opór materii, bierzemy na siebie pełną odpowiedzialność za kształt tego zamieszkanego domu.

W tym miejscu neopragmatyzm Richarda Rorty'ego staje się narzędziem pierwszej potrzeby, pozwalając nam porzucić złudzenia reprezentacjonizmu. Rorty słusznie odrzuca przekonanie, że język jest lustrem natury, czyli neutralnym odbiciem obiektywnej rzeczywistości, w którym przegląda się świat. Choć świat materialny bezsprzecznie istnieje, nasze opisy tego świata są jedynie ludzkimi narzędziami, a prawda i fałsz przysługują zdaniom i narracjom, a nie samej nagiej rzeczywistości. Dlatego kluczowe pytanie polityczne nie powinno brzmieć: „który opis jest absolutnie zgodny z istotą rzeczy?", lecz raczej: „który opis pomaga nam lepiej żyć i skuteczniej rozszerzać zakres wspólnego my?". Tu pojawia się liberalna ironia ekologiczna, czyli postawa uznająca przygodność własnych przekonań przy jednoczesnym dążeniu do unikania okrucieństwa i cierpienia. Dzięki niej zrównoważony rozwój może zostać uratowany przed własną, drętwą oficjalnością, stając się żywym projektem społecznym.

Słowa i teorie to narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające rzeczywistość, dlatego warto pytać o ich użyteczność, a nie o sakralną czystość. Powinniśmy zatem dociekać nie tylko tego, co jest obiektywnie prawdziwe, lecz co pozwala nam rozwiązać palący problem bez produkowania nowego upokorzenia. Upokorzenie epistemiczne, czyli praktyka polegająca na odbieraniu ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzucaniu im obcej siatki pojęć, niszczy godność i buduje mur niechęci. Nie oznacza to bynajmniej lekceważenia faktów, lecz zrozumienie, że dane nigdy nie przemawiają w próżni społecznej. Zawsze wchodzą one w gęstą sieć ludzkich słowników, partykularnych interesów, sztywnych instytucji oraz kłębiących się

emocji. Ostatecznie to od naszej sprawności w operowaniu tymi narzędziami zależy, czy transformacja wzmocni nasze szanse życiowe, czy stanie się jedynie kolejnym ciężarem.

Dane klimatyczne są boleśnie realne, jednak sposób ich społecznego przetworzenia nie jest dany przez sam klimat, lecz przez naszą kulturę. Między globalnym wzrostem temperatury a decyzją rady gminy, między emisją a rachunkiem za prąd, leży cała rozległa przestrzeń infrastruktury wyobraźni. W tym kontekście teoria trzech światów Karla Poppera pozwala nam uniknąć zarówno naiwnego redukcjonizmu, jak i skrajnego konstruktywizmu. Świat pierwszy to fizyczna materia, klimat i zasoby, podczas gdy świat drugi obejmuje naszą indywidualną świadomość, lęki oraz subiektywny zachwyt nad krajobrazem. Świat trzeci natomiast to domena kultury, nauki, prawa i wskaźników, które próbują ująć tę złożoność w ramy konkretnych strategii. Zrozumienie tych relacji jest kluczowe, by nie mylić wskaźnika z życiem i dostrzec, że każda zmiana materialna musi przejść przez filtr ludzkiego doświadczenia.

W badaniach nad krajobrazem Olaf Kühne rozwinął tę myśl, wskazując na rozróżnienie między krajobrazem fizycznym a tym konstruowanym emocjonalnie i społecznie. Jego analizy dowodzą, że te trzy wymiary są nierozerwalnie połączone przez wymiar indywidualny, co pozwala lepiej rozumieć naturę konfliktów przestrzennych. Konflikt to nie anomalia do usunięcia, lecz twórczy rdzeń każdej wspólnoty, zwłaszcza gdy zderzają się różne wizje tego, co uznajemy za godne ochrony. Takie podejście stanowi znakomite antidotum na prymitywne wersje polityki zrównoważonego rozwoju, które chciałyby przejść bezpośrednio z twardych faktów Świata 1 do biurokratycznych regulacji Świata 3. Ignorowanie Świata 2, czyli sfery ludzkich emocji i pamięci miejsca, prowadzi nieuchronnie do oporu i poczucia wyobcowania. Prawdziwa transformacja musi zatem uwzględniać całą architekturę ludzkiego doświadczenia, nie pomijając żadnego z jego pięter.

Triangulacja światów: jak modernizować zamieszkany dom

Technokrata spogląda na rzeczywistość przez pryzmat suchych danych, dostrzegając jedynie emisje, bilanse energetyczne, mapy ryzyka oraz skomplikowane wskaźniki urbanistyczne. Na tej podstawie buduje on precyzyjne regulacje, zapominając często, że między światem materii a światem paragrafów zawsze stoi człowiek doświadczający zmiany. To właśnie w tym obszarze, zwanym Światem 2, wiatrak na horyzoncie staje się albo dumnym symbolem odpowiedzialności, albo bolesną raną zadaną lokalnemu krajobrazowi. Zamknięcie kopalni rzadko bywa tam postrzegane wyłącznie jako konieczność energetyczna, gdyż częściej oznacza ono brutalne przerwanie wielopokoleniowej genealogii pracy i tożsamości. Jeśli ten subiektywny wymiar

zostanie pominięty, powróci on później ze zdwojoną siłą jako opór, bunt, nieufność lub bierna odmowa współpracy. Człowiek zignorowany jako podmiot nie znika z równania, lecz powraca jako nieprzewidziany i niezwykle wysoki koszt wdrożeniowy.

Dlatego właśnie zrównoważony rozwój nie może być jedynie projektem technicznym, lecz musi stać się procesem uważnej triangulacji trzech odrębnych światów. Nie wolno nam redukować go do czystej fizyki środowiskowej, ponieważ ludzka egzystencja nie mieści się w samych tylko parametrach chemicznych atmosfery. Jednocześnie błędem byłoby sprowadzenie go wyłącznie do psychologii postaw, gdyż świat materialny stawia realny opór naszym najbardziej szlachetnym intencjom. Triangulacja oznacza, że fakty fizyczne, przeżycia jednostkowe i konstrukty społeczne muszą się nieustannie korygować w procesie wzajemnego uczenia się. Dopiero w takim układzie powstaje polityka, która nie myli wskaźnika z życiem i potrafi reagować na dynamicznie zmieniającą się rzeczywistość. Instytucje nie mogą tu zastępować autentycznego doświadczenia, lecz powinny tworzyć ramy dla jego pełnoprawnej obecności w debacie publicznej.

Donald Davidson dostarcza nam w tym kontekście kluczowego narzędzia, przypominając, że każda skuteczna komunikacja wymaga wspólnego świata i fundamentalnej zasady życzliwości. Ludzie nie rozumieją się dlatego, że posiadają identyczne stany wewnętrzne, lecz dlatego, że wspólnie odnoszą się do tych samych przedmiotów, zdarzeń i praktyk. W sporze o przyszłość planety oznacza to prostą, choć często lekceważoną zasadę: nigdy nie zaczynaj rozmowy od założenia, że twój oponent jest moralnie upośledzony. Wymaga to postawy, którą można nazwać liberalną ironią ekologiczną, czyli uznania przygodności własnych przekonań przy jednoczesnym dążeniu do unikania okrucieństwa i cierpienia innych. Jeśli ktoś broni lokalnego dziedzictwa przed nową inwestycją, nie musi być wcale egoistycznym wrogiem klimatu, lecz może po prostu operować słownikiem, w którym godność waży więcej niż abstrakcyjna optymalizacja.

Właśnie dlatego kluczowym pojęciem w procesie modernizacji staje się redeskrypcja, czyli twórcze przepisanie naszych słowników tak, aby lepiej odpowiadały nowym problemom. Nie polega ona na brutalnym demaskowaniu jednego opisu jako fałszywego, lecz na szukaniu języka, który mniej upokarza uczestników sporu i otwiera większą przestrzeń działania. Unikamy w ten sposób upokorzenia epistemicznego, czyli praktyki polegającej na odbieraniu ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia i narzucaniu im obcej siatki pojęć. Traktujemy tu język jako działanie, uświadamiając sobie, że sposób opisu problemu determinuje naszą relację z ludźmi, którym zamierzamy pomóc. Stare słowniki nie zawsze należy niszczyć w imię rewolucji, gdyż często znacznie lepiej jest poddać je mądremu i szacunkowemu recyklingowi. Słowa i teorie to przecież przede wszystkim narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra mające jedynie wiernie odbijać zastaną rzeczywistość.

Nowa metafora bywa często skuteczniejsza niż najbardziej rygorystyczna doktryna, ponieważ nie wchodzi ona drzwiami frontowymi jako rozkaz, lecz osiada w wyobraźni i zmienia trajektorię myślenia. Pojawia się tu piękna wizja transformacji w zamieszkanym domu, która jest znacznie trafniejsza niż większość współczesnych sloganów strategicznych. Społeczeństwa nie są przecież pustymi działkami inwestycyjnymi, na których można od podstaw wznieść idealny model przyszłości według technokratycznego planu. Są to budowle pełne historii, prowizorycznych instalacji, odziedziczonych mebli i schodów skrzypiących pamięcią pokoleń, o których administratorzy często nie mają pojęcia. Modernizować taki dom trzeba niezwykle ostrożnie, nie dlatego, że zmiana jest zakazana, lecz dlatego, że mieszkańcy nie mogą być traktowani jako przeszkoda dla projektu architektonicznego.

Zrównoważony rozwój potrzebuje zatem wsparcia nie tylko inżynierów i ekonomistów, lecz także antropologów, socjologów konfliktu oraz wnikliwych teoretyków języka. Potrzebujemy prawa, które nie myli legalności procedury ze sprawiedliwością proceduralną, czyli poczuciem, że reguły gry były uczciwe, a głos każdego uczestnika został realnie wysłuchany. Antropologia pozwala nam dostrzec, że krajobraz nie jest tylko przestrzenią fizyczną, lecz przede wszystkim nośnikiem statusu, tożsamości i poczucia przynależności. Wzmocnieniu musi ulec obywatelska kompetencja, czyli zdolność do krytycznej analizy wskaźników i rozumienia ukrytych konfliktów interesów, co zmienia mieszkańców w świadomych współtwórców zmian. Pamiętajmy, że konflikt to nie anomalia do usunięcia, lecz twórczy rdzeń każdej wspólnoty i motor wolności, który pozwala nam wspólnie ewoluować.

W tym miejscu teoria szans życiowych Ralfa Dahrendorfa wnosi niezbędny element normatywny, definiując realne możliwości rozwijania życia w nowoczesnym społeczeństwie. Szanse te nie są jedynie czystą wolnością formalną, która bez zasobów, edukacji i bezpieczeństwa staje się tylko pustą, choć estetyczną dekoracją. Dahrendorf ujmuje to zagadnienie jako napięcie między opcjami, czyli polami manewru i alternatywami działania, a ligaturami, czyli więziami i strukturami nadającymi życiu sens. Opcje bez ligatur, pozbawione zakorzenienia w tradycji i wspólnocie, okazują się ostatecznie jałowe i pozbawione głębszego znaczenia dla jednostki. Z kolei ligatury bez opcji oznaczają po prostu ucisk, dlatego zrównoważona przyszłość wymaga harmonii między możliwością wyboru a poczuciem przynależności wewnątrz modernizowanego domu.

Samorealizacja i solidarność: balansowanie w społeczeństwie

Ta maksyma stanowi fundament, bez którego współczesna debata o zrównoważonym rozwoju niebezpiecznie dryfuje w stronę jałowych skrajności. Bez jej ożywczego wpływu polityka ekologiczna zbyt łatwo wpada w pułapkę autorytarnej pedagogiki lub grzęźnie w neoliberalnej pustce pozornego wyboru. Autorytarna pedagogika, posługując się głosem bezosobowego aparatu eksperckiego, usiłuje nam wmówić, że jedyną drogą ratunku jest życie pod dyktando odgórnie zdefiniowanej przyszłości. Z kolei neoliberalna pustka mami nas obietnicą nieskończonej konsumpcji i innowacji, które rzekomo mają automatycznie rozwiązać wszelkie napięcia społeczne i przyrodnicze. W obu tych scenariuszach człowiek zostaje sprowadzony do roli pasywnego odbiorcy instrukcji lub bezrefleksyjnego klienta, co ostatecznie niszczy tkankę społeczną.

Oba te stanowiska okazują się niewystarczające, ponieważ w fundamentalny sposób rozmijają się z naturą ludzkiej wolności i potrzebą przynależności. Pierwsze z nich brutalnie ogranicza dostępne opcje w imię narzuconych odgórnie konieczności, które rzadko kiedy znajdują zrozumienie w codziennym doświadczeniu obywateli. Drugie natomiast mnoży wybory pozbawione sensotwórczego zakorzenienia, oferując wolność, która jest jedynie fasadą dla pogłębiających się nierówności. Zrównoważony rozwój, jeśli ma być projektem udanym, musi zatem dążyć do pomnażania realnie dostępnych szans życiowych. Szanse życiowe, czyli koncepcja łącząca obiektywne opcje wyboru z ligaturami nadającymi życiu sens, pozwalają nam ocenić, czy dany projekt realnie wzmacnia ludzi, czy jedynie narzuca im nowe normy.

W tym kontekście Cele Zrównoważonego Rozwoju (SDG) jawią się jako jeden z najważniejszych globalnych słowników współpracy, jakimi dysponujemy po 2015 roku. Nie wolno ich lekceważyć ani odrzucać z pozycji taniego antyglobalizmu, gdyż stanowią one niezbędną mapę naszych wspólnych, planetarnych wyzwań. Problem polega jednak na tym, że jako słownik globalny mają one naturalną skłonność do uniwersalizacji, kwantyfikacji oraz poszukiwania administracyjnej elegancji. Są one doskonale zrozumiałe dla międzynarodowych instytucji i biurokratów, ale nie zawsze dają się przełożyć na żywe, często bolesne doświadczenie konkretnych ludzi. Służą nam jako użyteczny katalog problemów, lecz rzadko kiedy okazują się wystarczającą metodą negocjowania realnych konfliktów wartości.

Musimy otwarcie przyznać, że poszczególne dobra, które staramy się chronić, często wchodzą ze sobą w bezpośredni i trudny do rozstrzygnięcia spór. Rozwój gospodarczy może brutalnie kolidować z ograniczeniami ekologicznymi, a ochrona dziewiczego krajobrazu bywa nie do pogodzenia z budową niezbędnej infrastruktury energetycznej. Cyfryzacja, choć obiecuje

powszechny dostęp do usług, może jednocześnie pogłębiać nadzór i wykluczenie tych, którzy nie posiadają odpowiednich kompetencji. Nawet zielona modernizacja, tworząc nowe miejsca pracy, potrafi bezpowrotnie niszczyć dawne ligatury zawodowe, które przez pokolenia budowały tożsamość lokalnych wspólnot. Dlatego krytyka SDG nie jest gestem destrukcji, lecz warunkiem ich dojrzalszego i bardziej ludzkiego użycia w praktyce politycznej.

W duchu neopragmatyzmu należy zatem odróżnić cele traktowane jako globalny słownik koordynacji od celów udających kompletny opis dobrej przyszłości. To pierwsze rozróżnienie jest nam niezbędne do przetrwania, drugie zaś byłoby śmiertelnie niebezpieczne dla idei społeczeństwa otwartego. Kiedy słownik administracyjny zaczyna aspirować do roli nowej metafizyki, trzeba mu delikatnie, ale stanowczo odebrać nimb świętości. Społeczeństwo otwarte nie potrzebuje bowiem nienaruszalnych wskaźników, lecz uczciwych procedur uczenia się na własnych błędach. Właśnie tutaj wyłania się dwanaście kryteriów nowego słownika zrównoważonego rozwoju, które nie są technicznym dodatkiem, lecz rdzeniem koniecznej redeskrypcji naszej rzeczywistości.

Odejście od reprezentacjonizmu oznacza, że słownik ten nie ma już udawać neutralnego lustra natury, lecz stać się narzędziem do aktywnego kształtowania świata. Triangulacja światów nakazuje nam łączyć materię, świadomość i kulturę w jedną, spójną opowieść o naszym miejscu w biosferze. Konstruktywna krytyka ma za zadanie tworzyć nowe opisy, które zapraszają do współpracy, zamiast jedynie niszczyć stare, wysłużone już pojęcia. Kluczowe staje się unikanie bólu i upokorzenia, co chroni nas przed arogancją ekspertów i aktywistów przekonanych o swojej nieomylności. Upokorzenie epistemiczne, czyli odebranie ludziom prawa do sensownego opisu własnego doświadczenia, jest wszak najczęstszą przyczyną porażek ambitnych polityk publicznych.

Prymat metafory nad teorią przypomina nam, że ludzie zmieniają swoje codzienne praktyki nie pod wpływem suchych argumentów, lecz dzięki obrazom, które pozwalają im inaczej zobaczyć własne życie. Orientacja na korzyści wymaga od nas ciągłego pytania o praktyczną wartość pojęć, którymi się posługujemy w debacie publicznej. Wielość zamiast jednej, narzuconej prawdy chroni pluralizm, bez którego każda wspólnota zaczyna usychać i kostnieć. Relacja samokreacji i solidarności zabezpiecza jednostkę przed presją kolektywu, a jednocześnie chroni wspólnotę przed destrukcyjnym wpływem skrajnego egoizmu. Wrażliwość na konflikt czyni spór funkcjonalnym elementem rozwoju, a nie anomalią, którą należy za wszelką cenę usunąć z przestrzeni publicznej.

Sprawiedliwość proceduralna oraz sprawiedliwość szans przenoszą punkt ciężkości z narzucania gotowych wyników na tworzenie uczciwych warunków uczestnictwa. Sprawiedliwość proceduralna, czyli zasada, według której ludzie akceptują trudne decyzje, jeśli czują, że reguły gry były przejrzyste, jest kluczem do budowania trwałych zmian. Prawo zbyt często zadowala się formalną poprawnością, a ekonomia efektywnością alokacji, zapominając o ludzkim wymiarze tych

procesów. Zrównoważony rozwój wymaga więc prawa proceduralnie wrażliwego oraz ekonomii, która wykazuje się instytucjonalną pokorą wobec złożoności ludzkich losów. Musimy zrozumieć, że procedura legalna, ale społecznie niezrozumiała, zawsze będzie produkować opór, a efektywna alokacja niszcząca więzi zrodzi jedynie alienację.

Największą słabością wielu kampanii na rzecz zrównoważonego rozwoju jest akrazja, czyli owa bolesna luka między posiadaną wiedzą a podejmowanym działaniem. Ludzie często doskonale wiedzą, co należałoby zrobić dla dobra planety, a mimo to tego nie robią, co nie wynika z ich niewiedzy czy złej woli. Działanie nie jest bowiem prostą funkcją dostarczonej informacji, lecz wyrasta z gąszczu kosztów, nawyków, dostępnej infrastruktury oraz wyobrażeń o sprawiedliwości. Edukacja, która traktuje obywatela jak źle zaprogramowanego ucznia, któremu trzeba wgrać poprawną treść, jest z góry skazana na rozczarowanie. Człowiek nie jest wadliwym chatbotem obywatelskim i nie potrzebuje jedynie aktualizacji danych, lecz zmiany warunków, w których przyszło mu działać.

W ten sposób dochodzimy do centralnego napięcia, jakim jest relacja między indywidualną samorealizacją a solidarnością społeczną. Nie jest to prosta opozycja, lecz produktywne napięcie, które napędza rozwój nowoczesnych społeczeństw i pozwala nam budować zrównoważoną przyszłość. Richard Rorty słusznie rozróżniał prywatną samokreację, gdzie tworzymy własną estetykę istnienia, od publicznej solidarności, w której pytamy o ograniczanie okrucieństwa. Nie da się ich ostatecznie pojednać w jednej, uniwersalnej teorii, ale można i należy je praktycznie równoważyć w codziennym działaniu. Pamiętajmy, że słowa i teorie to narzędzia do rozwiązywania problemów, a nie lustra odbijające jakąś obiektywną, niezmienną rzeczywistość.

Społeczeństwo, które poświęca samorealizację jednostki na ołtarzu solidarności, nieuchronnie zmierza w stronę dusznego i opresyjnego kolektywizmu. Z kolei wspólnota, która rezygnuje z solidarności na rzecz niepohamowanej samorealizacji, rozpada się w procesie cynicznej i bolesnej fragmentacji. Zrównoważony rozwój wymaga od nas obu tych wartości jednocześnie: prawa do kroczenia własną ścieżką oraz odpowiedzialności za świat, w którym inni także mogą realizować swoje marzenia. Liberalna ironia ekologiczna, czyli postawa uznająca przygodność własnych przekonań przy jednoczesnym dążeniu do unikania cierpienia, wydaje się tu najlepszą strategią. Zrównoważona przyszłość wymaga wszak transformacji w zamieszkanym domu, a nie na pustym placu budowy, gdzie nikt nie chce zamieszkać.

Zrównoważony rozwój: jak zmieniać świat bez upokarzania ludzi

Świadomość, że własne przekonania są jedynie przygodne i nie zostały wyryte w granicie geologii ani w prawach metafizyki, stanowi fundament nowoczesnej wrażliwości. Liberalna ironistka, czyli osoba uznająca przygodność własnych prawd przy jednoczesnym dążeniu do unikania okrucieństwa, nie wpada jednak w paraliżujący cynizm. Wręcz przeciwnie, z tym większą determinacją unika zadawania bólu, bo rozumie, jak delikatne są ludzkie słowniki sensu, którymi oswajamy świat. W procesie zrównoważonego rozwoju ta postawa okazuje się wręcz bezcenna, gdyż odrzuca autorytarny ton posiadaczy prawdy ostatecznej. Zamiast żądać bezwzględnego podporządkowania, ironistka proponuje negocjację rozwiązań materialnych kryzysów w taki sposób, by nie deptać godności ludzi, których życie czeka głęboka przebudowa.

Taka strategia bywa błędnie postrzegana jako przejaw słabości, choć w rzeczywistości jest znacznie bardziej wymagająca niż krzykliwy, moralizatorski radykalizm. O wiele łatwiej jest przecież potępić adwersarza z bezpiecznej pozycji etycznej wyższości, niż mozolnie przebudowywać słownik konfliktu. Prawdziwym wyzwaniem jest stworzenie przestrzeni, w której przeciwnik nie musi najpierw wyrzec się własnej godności, aby w ogóle zasiąść do rozmowy o przyszłości. Zbyt często ulegamy pokusie opisywania ludzi jako zacofanych, egoistycznych czy zmanipulowanych, co jest jedynie intelektualną drogą na skróty. Trudniej jest pojąć, które więzi i struktury nadające życiu sens chronią ich przed egzystencjalną pustką i które opcje wyboru są dla nich realnie dostępne.

Zrównoważony rozwój, rozumiany jako projekt neopragmatyczny, nie stanowi osłabienia ambicji ekologicznej, lecz jest dowodem jej intelektualnej dojrzałości. Nie oznacza to, że mówimy mniej o przyszłości, ale z pewnością mówimy o niej znacznie uczciwiej i bez zbędnego patosu. Taka perspektywa nie rezygnuje z nauki, ale stanowczo odmawia zamiany twardych danych w pałkę moralną do dyscyplinowania niepokornych. Cele zrównoważonego rozwoju nie są tu traktowane jak nienaruszalne tablice z góry Synaj, lecz jako słownik otwarty na dalszą, twórczą redeskrypcję. Dążymy do solidarności, która nie upokarza, oraz do wolności, która nie jest wykorzeniona z lokalnych struktur znaczeń i wspólnotowych zobowiązań.

Jeśli mamy skutecznie komunikować się z ekspertami, decydentami czy algorytmami przetwarzającymi nasze słowniki, musimy zrozumieć, że przyszłość nie rozstrzygnie się tylko w emisjach. Kluczowa bitwa rozegra się w języku, ponieważ ten, kto narzuci wadliwy słownik, przegra starcie o klimat nawet przy posiadaniu najlepszych danych technicznych. Kto jednak stworzy słownik bardziej gościnny i precyzyjny, ten realnie zwiększy szanse życiowe ludzi, zamiast jedynie poprawiać statystyki w raportach. Nie budujmy więc utopii na fundamencie cudzego upokorzenia i

nigdy nie mylmy wskaźnika z życiem, które on jedynie ułomnie próbuje opisać. Lokalny opór wobec zmian nie jest awarią zbiorowej świadomości, lecz sygnałem, że nasze propozycje nie mieszczą się w obecnym horyzoncie sensu.

Zamiast siłowej wymiany starego słownika, powinniśmy poddać go recyklingowi poprzez lepsze, bardziej angażujące metafory, które pozwolą ludziom odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Zrównoważona przyszłość nie przypomina przecież monumentalnej katedry wznoszonej na pustym placu, lecz jest raczej gruntowną przebudową domu, który jest stale zamieszkany. W tym wspólnym budynku trzeba oczywiście wymienić przestarzałą instalację, uszczelnić dach i wyburzyć kilka ścian nośnych naszych szkodliwych przyzwyczajeń. Kluczowe jest jednak to, aby mieszkańcy pozostali dumnymi współautorami tego projektu, a nie stali się jedynie przypadkowymi lokatorami własnego życia. Pamiętajmy, że konflikt to nie anomalia do usunięcia, lecz twórczy rdzeń każdej wspólnoty i motor wolności, o ile potrafimy go cywilizowanie prowadzić.

> Zrównoważony rozwój nie jest sterylnym projektem architektonicznym, lecz nieustanną rozmową w domu, w którym już mieszkamy. Pytanie brzmi, czy potrafimy remontować naszą wspólną przestrzeń tak, aby nikt nie czuł się w niej jak intruz. Może najwyższy czas przestać mierzyć wskaźniki, a zacząć mierzyć sens, który nadajemy wspólnemu życiu?

Inspiracje

[1] **"Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective"** Karsten Berr, Irina Silina, Olaf Kühne

2026 | Springer Nature Switzerland | ISBN: 978-3-032-20181-2

Karsten Berr, naukowiec związany z Uniwersytetem w Tybindze w obszarze geografii, rozwoju miejskiego i regionalnego, specjalizuje się w inter- i transdyscyplinarnej teorii, praktyce i etyce krajobrazu oraz architektury. W 2008 roku obronił doktorat z filozofii na FernUniversität w Hagen. Jest współautorem publikacji „Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026).

***Karsten Berr** is a German scholar specializing in geography, philosophy, and sociology, currently affiliated with the University of Tübingen's Chair of Urban and Regional Development. He holds a doctorate in philosophy (2008) and has extensive experience in interdisciplinary research. His academic work focuses on the theory and ethics of landscape and architecture, landscape conflicts, cultural theory, and the application of neopragmatism to spatial and social sciences. Berr is known for his contributions to understanding landscape as a social construct and for exploring the productive potential of landscape-related conflicts. His research often bridges the gap between theoretical philosophy—such as Karl Popper's three-worlds theory and neopragmatism—and practical applications in urban planning, regional development, and environmental policy. He is a prolific author and editor, frequently collaborating on handbooks and studies that synthesize complex social and spatial phenomena.*

University of Tübingen

Irina Silina jest badaczką w dziedzinie ekonomii przestrzennej, transformacji energetycznej i oceny polityk. Jako postdoktorantka w Forschungszentrum Jülich, Instytucie Systemów Klimatycznych i Energetycznych (ICE), współtworzyła książkę „Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026), poświęconą zrównoważonemu rozwojowi z perspektywy neopragmatycznej.

***Irina Silina** is a researcher whose work intersects social theory, geography, and sustainable development. She is notably recognized for her collaborative research with Olaf Kühne and Karsten Berr, where she applies neopragmatist philosophy—drawing on the work of Richard Rorty—to the study of sustainability. Her academic contributions focus on developing theoretical frameworks that move beyond essentialist or teleological models of sustainable development, instead emphasizing a life-chances-oriented approach. By integrating Karl Popper's Three Worlds Theory and neopragmatic redescriptions, Silina explores how individuals and societies negotiate normative processes in the context of environmental and social transformation. Her research is characterized by a commitment to understanding sustainability as an open, contingent, and sociocultural practice rather than a fixed state, contributing significantly to contemporary discourse on social theory and the ethics of sustainable development.*

Forschungszentrum Jülich

Olaf Kühne (ur. 1973 w Bochum) jest niemieckim geografem i socjologiem, profesorem ds. rozwoju miast i regionów na Uniwersytecie Eberharda Karlsa w Tybindze. Jego badania koncentrują się na zrównoważonym rozwoju, teorii krajobrazu i społecznej akceptacji zmian, często z perspektywy neopragmatycznej. Jest autorem licznych publikacji, w tym książki „Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026).

Olaf Kühne *(b. 1973 in Bochum) is a German geographer and sociologist, Professor of Urban and Regional Development at the Eberhard Karls University of Tübingen. His research focuses on sustainable development, landscape theory, and the social acceptance of landscape change, often from a neo-pragmatist perspective. He is the author of numerous publications, including "Sustainable Development and Life Chances: A Redescription From a Neo-Pragmatist Perspective" (2026).*

Literatura uzupełniająca

Książki

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[1] "Landscape Conflicts"

Karsten Berr, Lara Koegst, Olaf Kühne

2024 | Springer VS | ISBN: 978-3-658-43351-2

[2] "Wissenschaft, Raum, Gesellschaft: Eine Einführung zur sozialen Erzeugung von Wissen"

Olaf Kühne, Karsten Berr

2021 | Springer VS | ISBN: 978-3-658-33633-2

[3] "Essays on Actions and Events"

Donald Davidson

1980 | Oxford University Press | ISBN: 978-0-19-924627-4

[4] "Inquiries into Truth and Interpretation"

Donald Davidson

1984 | Oxford University Press | ISBN: 978-0-19-924629-8

[5] "Philosophy and the Mirror of Nature"

Richard Rorty

1979 | Princeton University Press | ISBN: 978-0-691-02016-7

[6] "Contingency, Irony, and Solidarity"

Richard Rorty

1989 | Cambridge University Press | ISBN: 978-0-521-36781-3

[7] "Class and Class Conflict in Industrial Society"

Ralf Dahrendorf

1959 | Stanford University Press | ISBN: 978-0-8047-0560-8

[8] "Life Chances: Approaches to Social and Political Theory"

Ralf Dahrendorf

1979 | University of Chicago Press | ISBN: 978-0-226-13491-8

[9] "The Open Society and Its Enemies"

Karl Popper

1945 | Routledge | ISBN: 978-0-415-29635-9

[10] "The Logic of Scientific Discovery"

Karl Popper

1934 | Hutchinson | ISBN: 978-0-415-27844-7

[11] "The Idea of Justice"

Amartya Sen

2009 | Harvard University Press

[12] "The Pragmatic Turn"

Richard J. Bernstein

2010 | Polity

[13] "The Routledge Handbook of Landscape Character Assessment"

Rachael A. Dixon, Graham Fairclough

2022 | Routledge

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Mind-Body Identity, Privacy, and Categories"

Richard Rorty

1965 | The Review of Metaphysics | DOI: 10.2307/20123789

Google Scholar

[2] "The Very Idea of Human Answerability to the World: John McDowell's Version of Empiricism"

Richard Rorty

1997 | Truth and Progress: Philosophical Papers, Volume 3 | DOI: 10.1017/CBO9780511625343.011

Google Scholar

[3] "Grounding Human Rights in Political Conceptions"

Bosko Tripkovic

2021 | Journal of Ethics and Social Philosophy

Google Scholar

[4] "Toward a Theory of Social Conflict"

Ralf Dahrendorf

1958 | The Journal of Conflict Resolution | DOI: 10.1177/002200275800200204

Google Scholar

[5] "The Relevance of Philosophy in Shaping Contemporary Social Ethics"

Jakoep Ezra Harianto

2025 | International Journal for Science Review

Google Scholar

[6] "The Problem of Demarcation"

Karl Popper

1974 | The Philosophy of Karl Popper | DOI: 10.1007/978-94-010-2025-1_1

Google Scholar

[7] "Conjectures and Refutations"

Karl Popper

1963 | Conjectures and Refutations: The Growth of Scientific Knowledge

Google Scholar

[8] "Neopragmatism as a Theoretical-Conceptual Framework"

Olaf Kühne, Irina Silina, Karsten Berr

2026 | Sustainable Development and Life Chances (Book Chapter) | DOI: 10.1007/978-3-032-20182-9_3

Google Scholar

[9] "Redescription of the Life Chances-Oriented Understanding of Sustainability Based on Neopragmatism"

Olaf Kühne, Irina Silina, Karsten Berr

2026 | Sustainable Development and Life Chances (Book Chapter) | DOI: 10.1007/978-3-032-20182-9_9

Google Scholar

[10] "Sustainability as a Social Practice: A Critical Review"

Elizabeth Shove

2018 | Sustainability: Science, Practice and Policy

Google Scholar

[11] "The productive potential and limits of landscape conflicts in light of Ralf Dahrendorf's conflict theory"

Olaf Kühne, Florian Weber, Karsten Berr

2019 | SocietàMutamentoPolitica | DOI: 10.13128/SMP-25391

Google Scholar

[12] "The social construction of landscape: A review of the literature"

Kenneth R. Olwig

2019 | Landscape Research

Google Scholar

[13] "Actions, Reasons, and Causes"

Donald Davidson

1963 | The Journal of Philosophy | DOI: 10.2307/2023177

Google Scholar

[14] "On the Very Idea of a Conceptual Scheme"

Donald Davidson

1974 | Proceedings and Addresses of the American Philosophical Association | DOI: 10.2307/3129898

Google Scholar

[15] **"Moral Understanding as Knowing Right from Wrong"**

Paulina Sliwa

2017 | Ethics

Google Scholar

Tekst opracowany z udziałem sztucznej inteligencji.
Redakcja i kontrola merytoryczna: Fundacja Dobre Państwo.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 8d7651c8-a7b1-4db0-bc80-1b03c2183e4c